# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

**Prenumerata wynosi:**
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

**Wychodzi każdej soboty**

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

**Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.**

**Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.**
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

**Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.**

Rok IV. Kraków, 16 lutego 1907. Nr. 7.

# Najazd na salę balową.

(Treść na stronie 2).



## Najazd na salę balową.

(Do illustracyi tytułowej).

Nasze panie, które co dopiero odetchnęły po długim szeregu balów i zabaw w ciągu krótkiego, lecz niezwykle ożywionego karnawału, znalazłyby się w niemałym kłopocie, gdyby tak niespodziewanie na lśniącą, jak lustro, posadzkę sali balowej, podczas tańca ukostyumowanych masek — wjechały konie, prawdziwe konie, tupiące kopytami podkutemi....

Właśnie w takiem położeniu znalazły się uczestniczki balu maskowego przed kilku dniami w Debreczynie na Węgrzech. W dobranem towarzystwie, bal bowiem odbywał się za zaproszeniami komitetu prawników i urzędników, bawiono się właśnie w najlepsze, gdy o północy z hałasem otwarły się nagle drzwi główne i na salę balową wjechało na koniach trzech oficerów stojącego w mieście załogą pułku huzarów węgierskich.

Powstała naturalnie ogromna panika wśród par rozbawionych. Większość pań i panienek pouciekała w popłochu do sąsiednich ubikacyj, zostało na sali tylko parę odważniejszych masek, a były to żony wojskowych, bardziej od innych tancerek oswojone z końmi. Panowie z oburzeniem wykrzykiwali: „wynoście się!“ Ale oficerowie nie wiele sobie z tego robiąc, przejechali się kilka razy po sali, poczem z tryumfem zjechali ze schodów — zadowoleni z dzikiego pomysłu....

Nazajutrz magistrat miasta Debreczyna, na skutek skarg komitetu balowego, uchwalił wystosować zażalenie do komendy pułku huzarów, który — nawiasem mówiąc — nosi imię cesarza Wilhelma niemieckiego.

## Jan i Tadeusz Stykowie.

Od paru tygodni bawi we Lwowie, po kilkuletniej przerwie, mistrz Jan Styka. Przyjechał tam, aby pożegnać liczne grono przyjaciół, przenosi się bowiem z całą rodziną na stałe do Paryża. Czyni to głównie ze względu na swego młodziutkiego syna, Tadeusza, kształcącego się w malarstwie, a zdradzającego zgoła nieprzeciętne zdolności.

Jan Styka w ciągu 10-letniej działalności artystycznej we Lwowie w latach 1890—1900 położył niemałe zasługi na polu rozbudzenia ruchu artystycznego i zamiłowania do sztuki w szerokich warstwach społeczeństwa naszego. Pierwszym etapem tego działania była „Polonia“. Wiemy, jak gorącą wówczas odezwę wystosował Wojciech hr. Dzieduszycki do społeczeństwa, wzywając je, aby to dzieło w kraju pozostało. W r. 1894 stworzył Styka „Racławice“, a znowu było to jego ogromną zasługą, że umiał społeczeństwo rozgrzać do ofiarności na ten cel. Dziesiątki tysięcy ludzi pielgrzymowały do Racławic i sztuka nasza rozpalała serca tłumów wieśniaczych. Po „Racławicach“ nastąpiła „Golgota“ (1896), potem „Bem w Siedmiogrodzie“ (1897), potem „Męczeństwo chrześcian w cyrku Nerona“ (1899) Była to już ostatnia praca, przez Stykę wykonana w kraju. Ten obraz poszedł na wystawę światową w Paryżu i on zawiódł mistrza swego nad Sekwanę.



Fot. dla »Now. Ill.« N. Lissa, nadworny fot. we Lwowie.
**Jan i Tadeusz Stykowie:** Bawiący we Lwowie przed wyjazdem na stałe do Paryża, mistrz Styka ze synem.

Tam, w środowisku sztuki, talent wielkiego naszego mistrza spotężniał jeszcze bardziej, a dzieła jego przysporzyły sławy malarstwu polskiemu. Tam też objawił się wielki talent malarski jego syna Tadeusza.

Tadeusz Styka jest rzeczywiście zadziwiającem zjawiskiem. Ma obecnie lat siedmnaście, a już od paru lat uznany jest przez mistrzów francuskich za znakomitego artystę. Już w r. 1901 sławny Carolus Duran, w dzień wernisażu u Ledoyena, postawił młode chłopiątko na stole i wskazując je zebranym, powiedział: „przedstawiam wam mistrza“. Podobnie wyrażają się o Tadziu Almé Morot, Henner i inni. Gdyby Styka chciał był nawet pozostać w kraju, nie mógłby był tego uczynić ze względu na przyszłość swojego syna, którego nadzwyczajny talent potrzebował takiego otoczenia, jakie może dać Paryż, gromadzący w sobie arcydzieła świata i największych mistrzów, aby mógł się tak rozwinąć, jak się rozwinął ojciec. Stosunek między synem a ojcem jest idealnym: od rana do wieczora jak koledzy siedzą w swojem atelier, pracują, tworzą.

I teraz podczas pobytu we Lwowie można ich było widzieć zawsze i wszędzie razem. Mistrza Stykę bowiem, korzystając z jego pobytu we Lwowie, proszono na wszystkie bale, których szereg odbył się w ostatnich tygodniach Zjawiał się on zawsze z nieodstępnym swym synem Tadeuszem, którego dziecięca niemal jeszcze twarz, wobec głośnej sławy, budziła niemałą sensacyę.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy portret mistrza Jana Styki z synem Tadeuszem.

## Projekt na pomnik Chopina.

W ostatnich czasach coraz częściej mówi się i pisze o potrzebie wzniesienia pomnika dla genialnego naszego muzyka Chopina. To też żywe zainteresowanie obudził — wystawiony właśnie w lwowskim salonie Tow. przyjaciół sztuk pięknych



**Obrazy zniszczenia:** Jak wyglądały ulice w Kingstonie po trzęsieniu ziemi.



Fot. M. Münz, Lwów.
**Projekt pomnika Chopina,** dłuta znanego artysty teatru lwowskiego p. Chmielińskiego.

projekt pomnika Chopina, dłuta p. Józefa Chmielińskiego.

Nazwisko p. Chmielińskiego, jednego z najwybitniejszych polskich artystów dramatycznych, nie jest w dziedzinie sztuki rzeźbiarskiej nowością. Publiczność lwowska miała już niejednokrotnie sposobność oglądać twory dłuta tego niezwykle inteligentnego artysty, niedawno n. p. wystawił p. Chmieliński swój projekt na pomnik Słowackiego. Prace p. Chmielińskiego cechuje prócz wysokiego artyzmu, szczery, gorący zapał i prawdziwa miłość sztuki.

Także i w ostatniej kompozycyi p. Chmielińskiego jest odczucie piękna, jest odczucie istoty geniusza Chopina, jest wiele poezyi. Na piedestale o nadzwyczaj ładnej budowie i czystych liniach, na fotelu siedzi Chopin, wpatrzony w dal. Tylna część piedestału, razem z oparciem fotelu zlewa się w jakąś mgłę, z której wznoszą się postacie, symbolizujące jego natchnienie czy twórczość i tej twórczości przewodnie idee a nad niemi geniusz skrzydlaty z harfą w ręku. Mimo olbrzymich trudności technicznych, Chmieliński potrafił doskonale rozwiązać zadanie, jakie sobie postawił i cała grupa jest lekką. Wreszcie na stopniach piedestału po lewej stronie siedzi chłopak wiejski, grający na fujarce, jakby podpowiadał mistrzowi melodyę swojską. Wszystkie postacie są w ruchu dobre, całość szczęśliwie i poetycznie skomponowana, sprawia wrażenie bardzo dodatnie i ujmujące.

P. Chmieliński uważa się za dyletanta w dziedzinie sztuki rzeźbiarskiej, szereg jednak prac jego, które prócz wspomnianych projektów pomnikowych pojawiły się na wystawie, prac kompozycyjnych i portretowych, stawia go w rzędzie artystów-rzeźbiarzy. Publiczność i krytyka przyjęły rzeczy p. Chmielińskiego bardzo życzliwie, ceniąc w nim przedewszystkiem przywiązanie do sztuki, którem owiane są wszystkie jego prace artystyczne.

* * *

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne projektu na pomnik Chopina, dłuta p. Chmielińskiego, oraz portret autora.

## Obrazy zniszczenia.

Nadeszły wreszcie z Jamajki oryginalne zdjęcia fotograficzne strasznych obrazów zniszczenia, jakie przedstawiają dziś główne ulice stołecznego miasta Kingston po ostatniej katastrofie.



**Projekt pomnika Chopina:** Twórca projektu, p. Chmieliński.

Reprodukujemy właśnie w dzisiejszym numerze dwie najbardziej charakterystyczne ryciny, z których Czytelnik nabierze pojęcia, co zdziałać może krótka chwila trzęsienia ziemi w mieście kwitnącem jak Kingston. I znowu widzimy tu sceny wstrząsające, których tyle widział świat w krótkim cza-



**Obrazy zniszczenia:** Ludność Kingstonu ogląda rozmiary klęski, zrządzonej przez trzęsienie ziemi.

sie w kilku latach ostatnich, że przypomnimy Saint-Pierre, San Francisco, Valparaiso, Santiago... Więc zawsze ulice w jednem miejscu zapadłe, w drugiem podniesione w górę obok zaś szczeliny w ziemi wąskie, podłużne, to znów siejące zgrozę rozpadliny ogromne, które pochłonęły tyle naraz istnień ludzkich. Naokół stosy gruzów piętrzące się w miejscach, gdzie wrzał ruch najgorętszy w zamarłem nagle mieście, a gdzie teraz w żałobie krąży to w apatycznem przygnębieniu, to znów w szale rozpaczy ludność miejscowa bez dachu. często bez chleba... Najsilniejsze wrażenie na takich ulicach zniszczonego katastrofą żywiołową miasta, sprawiają ruiny domów mieszkalnych, czy gmachów publicznych. Kiedy spojrzysz na nie, zdaje się, że mówi do ciebie wymownie taki sterczący kawał ściany, jaki się ostał z całego budynku — i niby olbrzymiemi oczodołami spogląda w niebo otworami drzwi i okien, z poza których widać jedynie spustoszenie i nic nadto, krom strasznego obrazu zniszczenia.

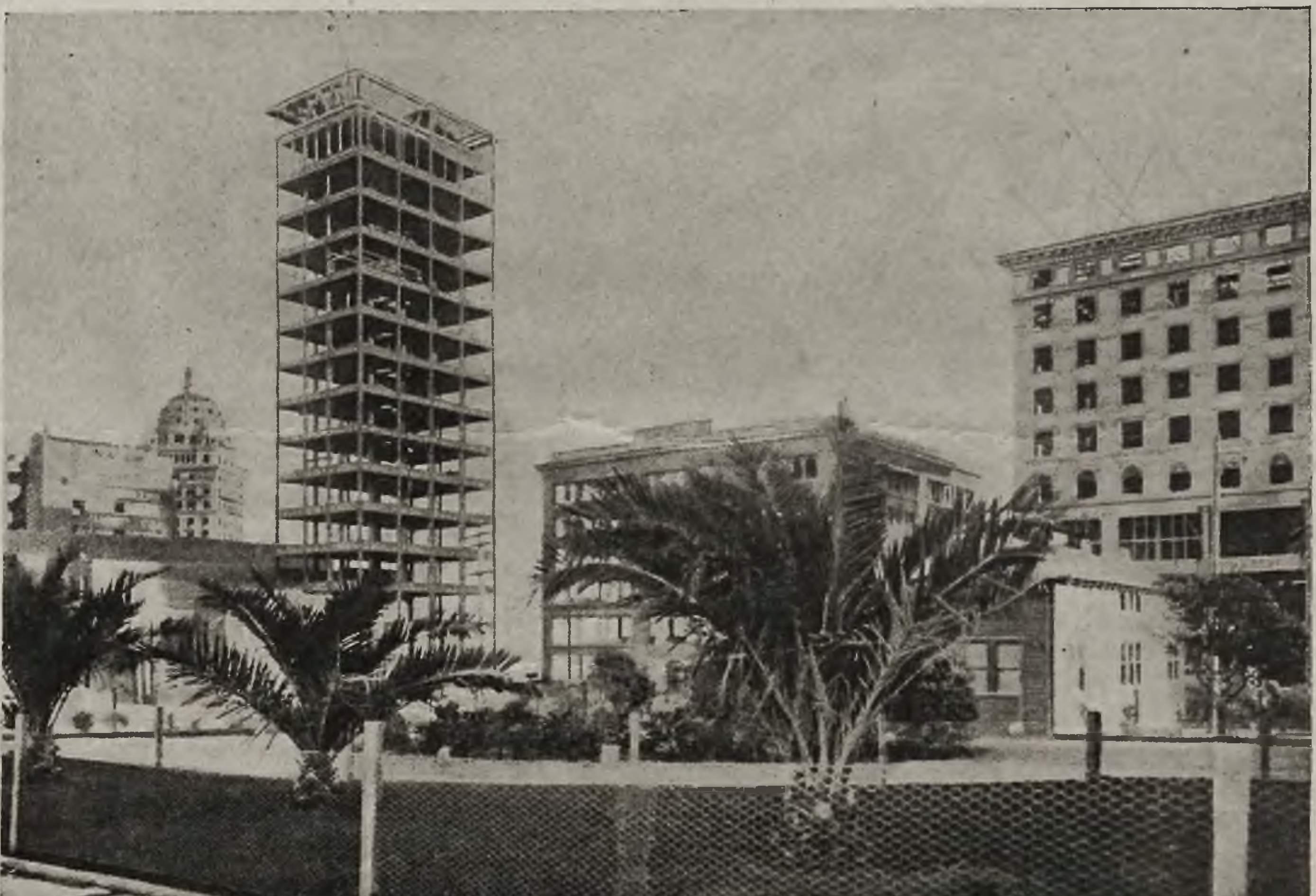


**Zmartwychwstające miasto:** W handlowej dzielnicy San Francisko, wybudowane już po ostatniem trzęsieniu ziemi nowe »drapacze niebios«.

## Zmartwychwstające miasto.

Trzęsienie ziemi. które świeżo zniszczyło stolicę Jamajki, przypomniało jednę z niedawnych a bardzo do kingstońskiej podobną katastrofę w San Francisko. Mamy właśnie sposobność, zapoznać naszych Czytelników z nadesłanemi z nad Oceanu Spokojnego fotografiami, które najlepiej świadczą, w jak krótkim czasie wielka ta metropolia amerykańska z ruin powstaje z powrotem do dawnego życia po kwietniowej klęsce. Oko Europejczyka wierzyć nie chce, patrząc na te fotografie, iż widne na nich olbrzymie, niebotyczne gmachy, powstały od podwalin aż po dachy w tak stosunkowo krótkim przeciągu czasu, dzielącym chwilę zdjęć — reprodukowanych w niniejszym numerze — od owego pamiętnego trzęsienia ziemi, które wraz z szalonym pożarem obróciło bogate miasto San Francisko w zupełną ruinę, niemal w kupę gruzów.

Na jednej z dwóch fotografij zmartwychwstającej stolicy widzimy potworne „drapacze niebios“, wzniesione w ciągu pół roku na zgliszczach wspaniałej dzielnicy handlowej, dla pomieszczenia biur wielkich banków i rozmaitych instytucyj finansowych. Poniżej znać jeszcze szczątki dawnych budowli tego rodzaju, które pod wstrząśnieniami ziemi rozpadły się w gruzy, a pożoga strawiła je do reszty. Na drugiej znów fotografii widać dokoła wysadzonego palmami skweru z pomnikiem Jeffersona, trzy świeżo wybudowane gmachy, którym do zupełnego wykończenia — jak na stosunki amerykańskie — brak może jeszcze paru tygodni. Każdy z nich jest innego typu, jakkolwiek przeważnie tylko cement, żelazo i szkło zostały użyte przy ich budowie. To przedsiębiorcy tamtejsi robią próby, dla przekonania się jakiej konstrukcyi domy wytrwają najlepiej w czasie trzęsienia ziemi. Każdy z nich zapewnia, że jego pomysłu budynki wyjdą cało z żywiołowych kataklizmów, trzeba jednakże dopiero czekać, aż nowa katastofa, na którą zresztą mieszkańcy San Franciska są wiecznie przygotowani, przekona, jakiego typu gmachy zdolne są istotnie przetrzymać cało trzęsienie ziemi.



**Zmartwychwstające miasto:** Trzy różnego typu wielkie gmachy, wzniesione po ostatniem trzęsieniu ziemi w San Francisko.

## Głód w Rosyi.

Ogromnie bogate pod względem czysto rolniczym prowincye tak zwanego „centrum Rosyi“ podlegają coraz to częściej strasznym klęskom głodowym, o jakich w zachodniej Europie trudno nawet wyrobić sobie wyobrażenie. Całe gubernie, równające się przestrzeniom wielu państw na Zachodzie, poprostu wymierają z głodu Tyfus, szkorbut i wogóle wycieńczenie ludności tych okolic tworzą obraz, który trudno jest nawet słowa mi wyrazić. Dodać należy przy tem, że afera Lidwal Hurko, z której pokazało się, iż pieniądze, przeznaczone na ulżenie losu ginącej z głodu ludzkosci poprostu przetrwoniono, nie może mieć tylko skutków materyalnych dla interesowanych, ale także dla tych, co ten pieniądz w sposób lekkomyślny przetrwonili.

Ze zdjęć, jakie dziś podajemy, pierwsze przedstawia wioskę tatarską, nazwiskiem Kacyj — położoną w gubernii Samarskiej, gdzie ludność miejscowa już ginie z głodu i to przy najstraszniejszych warunkach egzystencyi, gdzie oprócz braków, jakie wywołuje niezwykle niska tegoroczna temperatura, ludność podlega skutkom obecnej zawieruchy rewolucyjnej w Rosyi. Na innej rycinie widać, rodzinę Tatarów, którzy skazani zostali na śmierć głodową; a wreszcie oglądamy wnętrze szpitala, przygotowanego na przyjęcie tych, co już dalej z życiem walczyć nie mogą, gdyż przez głód zostali absolutnie sił pozbawieni.

Co za okropne położenie tych ludzi, którzy cały rok pracując na zdobycie kawałka chleba, naraz znajdują się w sytuacyi bez wyjścia!... Zapasy ziarna, jakie posiadano z przeszłego roku, już się skończyły. a do nowych zbiorów tak daleko!... Cóż to będzie dopiero za przednowek?!

Ryciny, o których mowa w powyższym artykuliku znajdują się na stronie 13 ej.

# Na wulkanie

## Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

9

Ciąg dalszy

— Jeśli Dymitrow będzie miał takie powodzenie, przeklnie razem ze mną tę wściekłą noc.

Bal i Kola zamienili spojrzenie i przed Kolą przesunął się znów obraz bitej i skrępowanej Wandy. Rozdrażniony, nie patrząc nawet na wysoką stawkę, zawołał:

— Va banque!

— O, śmiało — szepnął naczelnik.

— Poznać syna generała — uśmiechnął się Jegorow.

Nastała chwila milczenia, karty padały z głuchym trzaskiem, wreszcie Kola wygrał i zaczął ciągnąć bank. Gracze stawiali powściągliwie, a Bal, chcąc rozruszać grę, stawiał większe kwoty. Kola wygrał z rzędu pięć razy.

— Gdybym był na waszem miejscu — rzekł naczelnik z kwaśnym uśmiechem—płakałbym gorzkiemi łzami nad tem szczęściem.

— Prawda — dodał Jegorow — bo i co młodemu po szczęściu w kartach, gdy nieszczęśliwy w miłości... Ot, może teraz zdradza was wasza krasawica.

— Zdradza się starych tylko — odpowiedział Kola z gniewem.

— Jeśli nie zdradza — mówił Wasyl Wasyliewicz złośliwie, — to waszą nie będzie przy takiem szczęściu.

— A może umrze — uśmiechnął się Jegorow.

Kola pobladł. Słowa te wydały mu się przepowiednią, gdyż jak każdy zakochany stał się przesądnym. Spojrzał jak męczennik na Bala, a ten spokojny, uśmiechnięty, elegancki, zdawał się nie słyszeć rozmowy i właśnie wyjął zegarek, mówiąc

— Za dwadzieścia pięć dziesiąta... trzymam dwadzieścia pięć rubli.

— Oddaję bank — rzekł Kola.

— Sprzykrzyło się wam szczęście — śmiał się Wasyl Wasyliewicz, tasując karty.

— Nie to, ale pić chcę.

— Racya! — zawołał Jegorow i pili.

Wasyl Wasyliewicz wygrał.

— Ot, wziął ja wasze szczęście — zwrócił się do Koli.

Bal przegrał trzy razy z rzędu zaglądając więc do pugilaresu odezwał się:

— Jeśli teraz nie wygram, będę musiał pójść po pieniądze.

— Któż wam pożyczy teraz — tłomaczył naczelnik — toż dziesiąta za dziesięć minut.

— Mam swoje w hotelu.

— Nu, to co innego.

Bal wstał od stołu, zawsze spokojny, tylko lekkie wypieki na twarzy i błyszczące oczy, zdradzały wzruszenie.

— O, tak was nie puścimy — zawołał naczelnik — musicie na ten czas dać piątego gracza.

— Piątego? Skądże go wezmę, chyba poszlę po pana Saleckiego — uśmiechnął się z przymusem.

— No, ten nie wstanie z łóżka, za dobrze mu jest — śmiał się Wasyl Wasyliewicz.

— A gdyby tak Martynowa! — rzekł naczelnik — on dobry do kompanii, ot szkoda, że na służbie.

— Iii, głupstwo! — zaśmiał się Jegorow — na odwachu poradzą sobie i bez niego. Napiszmy wezwanie, a w mig tu będzie.

Zadzwoniono na gospodarza, żądając papieru i pióra. Jegorow pisał, inni obstąpili stolik z flaszkami i naczelnik zaproponował „zbója“, mieszaninę porteru z wódką. Kola musiał pić, Bal ze względu, że idzie po pieniądze, został zwolniony. Wysłano wezwanie do Martynowa.

Na jasne czoło Koli wystąpiły kropelki potu, szklanka drżała mu w ręku i patrzał ogromnym niepokojem na Bala. Ten podszedł nieznacznie do niego i szepnął:

— Zimnej krwi.. pij mało, ich spój...

— Postaram się... wiesz, za pięć minut.

— Spokój.

— Cóż wy tam szepczecie? — spytał naczelnik.

— Radzę mu, by szczęścia z rąk nie puszczał.

— Puste gadanie — wmieszał się Jegorow — chociażbyś trzymał rękami i nogami nie zdzierżysz. Ono jak kobieta: usiłujesz, ona się odwraca, a czekasz, to sama przyjdzie na twoją kwaterę.

— Nu, z was rozumny człowiek — pochwalił Wasyl Wasyliewicz.

Drzwi otworzyły się szeroko i szybko wszedł ładny, szczupły brunet:

— Rozkaz sztabskapitana, jakże nie posłuchać — śmiał się — ale ja tylko na minutkę.. służba.

— Napijcie się naszego — podsunął naczelnik „zbója“ — rozjaśni wam się świat.

— Nie, nie! — sprzeciwiał się Jegorow — musi być porządek, najpierw wódka.

W pokoju przybocznym zegar wydzwonił chrapliwie dziesiątą.

— Bawcie się wesoło — kłaniał się Bal — a nie ograjcie Koli.

— Kiedyż wrócicie? — spytał naczelnik.

— Jak tylko wydostanę pieniądze... chyba, że mnie zaaresztuje strażnik — uśmiechnął się.

— No, niechby się ośmielił. W szeju jewo! — zawołał Wasyl Wasyliewicz śmiejąc się, a po chwili dodał poważniej: — powołaj się pan na mnie.

— Czyż może się to zdarzyć — spytał Kola.

— Nu, rozkaz jest aresztować nietutejszych, a Dymitrow służbista.

— Do widzenia panom!

— Do miłego!

Bal wyszedł z dusznego, przesyconego dymem i alkoholem pokoju i głęboko odetchnął chłodnem powietrzem.

Spojrzał na niebo, po którem snuły się gromady chmur, przysłaniając błyszczące gwiazdy. Na ulicach miasteczka ruch ustawał, tylko od czasu do czasu w świetle żółtawem latarni naftowych przesuwali się spóźnieni przechodnie.

Budynek kasy był po przeciwnej stronie miasta i trzeba było przejść przez rynek. Bal postanowił iść równym krokiem, ale niepokój był silniejszym od woli i stopniowo szedł coraz spieszniej, dopiero widok ludzi przypatrujących mu się ciekawie, zmusił go do zwolnienia kroku. Nasłuchiwał gorączkowo strzału, gdyż w razie zmienienia hasła posterunek przy kasie mógł strzelić do Marcelka. Lecz wokoło była cisza i czuł tylko silne bicie serca własnego i ostre, niemal bolesne pulsowanie w skroniach. Znów poniosła go niecierpliwość, biegł niemal, w tem posłyszał miarowy krok żołnierzy, przystanął na więc chwilę.

W migotliwem świetle latarni spostrzegł cztérech żołnierzy idących w kierunku odwachu, odetchnął, to wracała zmiana posterunków. Szedł dalej i uszu jego doleciało przenikliwe:

-- Pst.. Pst!

To towarzysz, stojący na straży. Szybko podszedł do niego:

— Gdzie nasi?

— Obok kasy.

— Baczność towarzyszu, a gwizdnijcie w ostateczności i cofnijcie się ku nam.

— Rozumiem.

Zwolnił kroku i szedł ostrożnie, unikając okręgów świecących latarni.

Był o jakie dwadzieścia kroków od budynku kasy, gdy ktoś zatrzymał go za rękę i szepnął:

— Cicho.

— Gdzie tamci? — nachylił się Bal do ucha towarzysza.

— Są tam... Marcelek...

Nastąpiła dla Bala chwila bardzo przykrego oczekiwania.

W ciszy nocnej odezwał się ostry głos:

— Kto idiot?

— Swój.

— Hasło?

— Plewna.

I zdawało się Balowi, że mija cała wieczność, krew rozsadzała mu głowę, posłyszał szelest zdejmowania karabina, jakiś trzask żelaza..

— Warszawa!

Hasło nie było zmienione, ale zamiast radosnego spokoju, poczuł dziwną ociężałość i stępienie zmysłów. Oparł się o drzewo przyległe, starał się nasłuchiwać, lecz prócz niewyraźnych dźwięków nic nie chwytało jego ucho. Dopiero rozradowany głos żołnierza.

— Nu, pajdiom na stakańczyk — rozbudził energię Bala.

Teraz słyszał upieranie się drugiego posterunku, który nie chciał iść z obawy kary, przekonywujące argumenta Marcelka, wreszcie trzy postacie zamajaczyły w świetle latarni, stojącej tuż przed furtką wejściową. I dwaj żołnierze z Marcelkiem w mundurze szli spiesznie środkiem ulicy w kierunku rynku, rozmawiając wesoło:

Bal skierował się szybko ku kasie, ale zanim doszedł, posłyszał dźwięk tłuczonych szyb i błysk ślepej latarki.

Podszedł do okna kasowego w chwili, gdy pilniki z piskiem i zgrzytem cięły kraty, a wewnętrzna żelazna okiennica jęczała i stękała głucho pod naporem łomów. Robota paliła się im w ręku i tylko od czasu do czasu w przebłysku latarni widać było natężenie muskułów żylastych rąk, zaczerwienione twarze i połyskliwe krople potu. Pracowali w głuchem milczeniu, a Bal szepnął po chwili:

— Idę do straży.

Szedł ulicą w kierunku przeciwnym od rynku nasłuchując pilnie na każdy szmer, na każdy szelest. W domach okolicznych tylko tu i owdzie przez wyrznięte serca okiennic przebłyskiwało światło. Czasem z piskiem otworzyły się jakieś drzwi, rozległy się jakieś odgłosy, to skrzyp drzewa, dzwonienie łańcucha studni, znów naszczekiwanie psów, odpowiadających sobie... Doszedł do zbiegu dwóch ulic, z których prawa prowadziła do koszar strażników. Wszystkie okna budynku straży były oświetlone, a przed bramą wejściową paliły się dwie latarnie. Bal patrząc na koszary posłyszał wewnętrzny głos:

— Niebezpieczeństwo tam!

Uczuł lekkie dotknięcie towarzysza na straży.

— Pilnujcie koszar — wskazał na budynek — gdy ujrzycie wychodzących, nie gwizdajcie... Czy umiecie naśladować rżenie konia, lub pisk puszczyka?

— Nie umiem... mogę krakać.

— Dobrze, zakraczcie i zaraz do nas, ale cicho, ostrożnie.

— Wiem.

Bal szedł teraz śmiało w kierunku karczmy, przy której opodal miał czekać Michał.

W pobliżu karczmy nie było nikogo i zaniepokojony napróżno wypatrywał; wtem doszło jego uszu dalekie parskanie koni. Poszedł w tym kierunku i w lasku, o jakie sto kroków od karczmy odszukał Wandę i Michała.

— Stoimy już pół godziny — skarżyła się Wanda — konie się niecierpliwią.

— Głupstwo... może godzinę, może dłużej poczekacie. A teraz uważajcie: jeśli posłyszycie trzykrotny gwizdek, jedźcie w miasto, staniecie przy kasie powiatowej, a jeśli posłyszycie strzały, zawróćcie towarzyszu konie, przeczekacie chwilę, aby dobiegli inni towarzysze i w konie, co wyskoczą!...

— Czy nie byłoby lepiej, ażebym ja została przy koniach sama? — odezwała się Wanda.

— A dasz sobie radę?

— Ja? Dziwne pytanie — mruknęła.

— Więc dobrze, przydacie się nam towarzyszu — a widząc go szukającego czegoś w bryczce, spytał — czego wam trzeba?

— Biorę postronki, mogą się przydać.

— Wandziu — mówił z lekkiem rozczuleniem w głosie — przy trzech gwizdkach jedź śmiało, ale przy strzałach nie czekaj zbyt długo, damy sobie radę.

— A ty? — spytała zaniepokojona.

— Ja wrócę cały, nie bój się... Ostrożnie, skręć w leśną drogę i czekaj... a gdyby ktoś nadjechał...

— Mam broń.

— Tylko nie strzelaj.

Zaświecił zapałkę, było już trzy kwadranse na jedenastą. Szybko poszedł w kierunku kasy, pędzony obawą, że Młot mógłby się spóźnić z wyjściem na spotkanie luzującej warty. Biegł niemal a dopadłszy okna kasy, spostrzegł Młota.

— Jeszcze tutaj? — zawołał gniewnie.

— Już idę — oddał pilnik Michałowi i wskazał górną poprzeczną kratę.

Bal dojrzał, że Jan i dwóch towarzyszy wśliznęło się już do pokoju i usiłowali otworzyć kasę.

— Nie puści — mruknął Jan — zakryjcie paltami wierzch, rozbiję dłutem.

Rozległy się miarowe uderzenia, lecz stal zamku nie puszczała, a przy silniejszem uderzeniu pękło dłuto.

— Tandeta! — zawołał zgorszony Jan — dajcie inne, a wy podważajcie od zamku.

Zatrzeszczała kasa, lecz zamek trzymał.

Jan bił młotem coraz zawzięciej, krople potu ściekały po jego zarośniętej twarzy.

Już i kraty zostały usunięte a kasa stała zamknięta.

— Na nic nasza praca — szeptali towarzysze zniechęceni.

Bal silił się na spokój. Z jednej strony mogą nadejść żołnierze na zmianę; z drugiej wyruszą strażnicy na obławę; może i Marcelek nie utrzyma w szynku żołnierzy; a kasa prócz głuchych trzasków stoi nienaruszona. Być tak blisko celu i nie módz go osiągnąć.

Zegar wydzwonił jedenastą.

Do towarzyszy stojących nieporadnie przed otwartem oknem rzekł Bal:

— Rozstawcie się na ulicy i baczność. Na krakanie lub gwizdek do mnie!

Sam wlazł do pokoju przymknął okiennicę, obejrzał starannie kasę i rzekł do Jana:

— Zawiasy są zarysowane.

Ten spojrzał niedbale i mruknął:

— Zamek grunt.

Okiennica zapiszczała a Marceli spytał przyciszonym głosem:

— Czy już? Prą się gwałtem na posterunek.

— To ich nożem—zawołał jeden z towarzyszy rozdrażnionym głosem.

— Sprowadźcie ich tutaj, skrępujemy — rzekł Bal.

Nagle odezwało się przeraźliwe krakanie.

— Cicho — szepnął do Jana — zgaście latarkę.

W jednej chwili wyskoczył oknem wołając do nadbiegających towarzyszy:

— Za dom, broń w pogotowiu — a do Marcelka — bierz karabin, na posterunek, nie puszczać ich.

Sam ukrył się w budce strażniczej i czekał. Dały się słyszeć miarowe kroki żołnierskie, zabłysły lufy i kaszkiety straży ziemskiej.

Na czele szedł Dymitrow. Przed budynkiem kasy zatrzymał oddział i spytał Marcelka stojącego na warcie:

— Spokojnie u was?

— Spokojnie.

— Nu zobaczymy.

— Hasło?

— Zwaryowałeś, czy co? Ja starszy strażnik.

— Hasło, bo strzelam, ani kroku — i wymierzył karabin.

Przez chwilę wahał się Dymitrow. ale w obec lufy wymierzonej namyślił się i zakomenderowawszy: marsz! ruszył w stronę rynku.

Marcelek podchodząc do budki strażnika, szepnął:

— Źle z nami... złapią żołnierzy i Wawrzka... domyślą się.

Jeden z towarzyszy zbliżył się z westchnieniem:

— Schwycą Młota.

Bal nie mówiąc i słowa, podszedł do okna, pchnął okiennicę i rozkazał:

— Do roboty! Niebezpieczeństwo minęło!... Śmiało!

Znów rozległy się miarowe uderzenia.

— Sprowadźcie tutaj żołnierzy — rzekł Bal do Marcelka: a do stojących: — odwagi towarzysze, za chwilę skończy się wszystko.

— A Młot... a Wawrzek.. — mruknął ktoś.

— Wrócą na pewno, a gdyby ich uwięziono nawet i zginęli, to sprawa nasza warta krwi naszej.

Posłyszeli szybko zbliżające się kroki, wpatrzyli się w ciemność. Wkrótce rozpoznali mundur wojskowy, sięgnęli po browningi, gdy zawołał idący?

— Gdzież wy?

— To Młot! — krzyknęli uradowani.

— Nie zginąłem — zaśmiał się.

— Co z żołnierzami? — spytał Bal.

— Poszli na rewizyę wiorsta od miasta, mamy czas.. a u was co?

— Nie puszcza kasa.

— Ano zobaczę — i gdy inni rozeszli się na stanowiska, on z Balem weszli do pokoju.

Obejrzano kasę szczegółowo i Młot był zdania, by strony zawias nie ruszać, a w pozostałe trzy bić kliny.




Wyjął czerwone sukno z wyszytemi, białemi literami: P. P. S., przywiązał je do bagnetu nasadzonego na karabin jednego ze związanych żołnierzy i umocował w pozostałej kracie.

Zastosowano się do rady i zaczęła się robota.

Bal usiadł za stołem kasyera, zapalił papierosa i uzupełniał kwit z pieczęcią partyi na odbiór pieniędzy, zostawiając wolne miejsce na wpisanie sumy.

Zaledwie skończył, gdy drzwiczki kasy odskoczyły, ale tuż rozległ się i gwizdek ze strony miasta.

— Zgasić i czekać — zarządził Bal wyskakując oknem.

Zdala słychać było kroki kilku ludzi, zbliżających się do budynku kasy. Wtem podbiegł jeden z towarzyszy do Bala, stojącego u furtki wejściowej:

— To Marceli, Wawrzek i żołnierze.

— Towarzyszu Michale, postronki.

— Są tutaj — pobiegł pod drzewo i przyniósł.

— Towarzyszu Marcinie — mówił Bal, wręczając postronki — związać ręce i nogi, zaknebłować i złożyć obu za domem. A wy towarzyszu Michale, skoczcie po konie przed karczmę, gwizd trzykrotny.

Powrócił do pokoju, przymknął okiennicę, zapalił świecę i kazał obliczać pieniądze.

Gdy banknotami doliczono sto tysięcy, zwrócił się do Młota:

— Włóżcie na siebie.

Przed domem słychać było szamotanie, głuche jęki. Bal otworzył okiennicę i zawołał:

— Marcelku!

Liczono dalej, a przy stu tysiącach rozporządził Bal, aby zachował je przy sobie Marceli.

Zadudniło przed kasą, to Wanda przyjechała. Bal rozkazał utworzyć łańcuch i worki ze złotem umieszczono na bryczce.

Po obliczeniu okazało się, że w kasie było 547.940 rbl., którą to sumę wpisał Bal do kwitu i rozporządził, aby zatarto ślady, zebrano najdrobniejsze resztki połamanych wytrychów, dłut, pilników.

Ośmiu towarzyszom dał po pięćdziesiąt rubli na drogę, a Marcelkowi i Młotowi po sto rubli.

— Na bryczkę towarzyszki Wandy siądą prócz Michała towarzysze Jan i Marcin.

Już ruszyli z przed budynku kasy, gdy Bal zawołał:

— Zaczekajcie! Zatkniemy jeszcze nasz sztandar!

Wyjął czerwone sukno, z wyszytemi, białemi literami: P. P. S., przywiązał je do bagnetu, nasadzonego na karabin jednego ze związanych żołnierzy i umocował w pozostałej kracie.

— Niech żyje P. P. S.

Odkrzyknęli i po raz pierwszy w tem miejscu rozległ się głos tryumfu polskiej partyi socyalistycznej.

— W drogę towarzysze!... Wandziu, szczęśliwej drogi!... Bywajcie!

Za chwilę szedł szybko w stronę rynku do Szaji, a gdy mijał swój zajazd, zastąpił mu drogę oddziałek straży ziemskiej.

— „Ruki w wierch!“

Obszukawszy za bronią a nie znalazłszy, zażądali paszportu, który im wręczył. Celem sprawdzenia chcieli go prowadzić do koszar.

Sprzeciwił się temu, przyszło do ostrej wymiany słów, co zwabiło krążącego opodal Dymitrowa.

— „W arest jewo!“ — wrzasnął gniewnie.

— Panie Dymitrow, zaprowadź mnie pan do pana naczelnika, Wasyla Wasyliewicza Pietuszok.

Poznał głos Dymitrow i równie groźnie wrzasnął:

— „Pustit jewo, wy sukin syny!... A wy gaspadin, kuda?“

— Do Szaji, do naczelnika.

— „Nus... z Bohom!“

— Proszę mi dać strażnika, może mnie znów ktoś zaaresztować.

— „Wierno“ — i dodał strażnika Balowi, który pospieszył do Szaji.

Wchodzącego powitał naczelnik pół pijanym głosem:

— „No, wy opozdali niemnożko“.

— Byłem aresztowany.

— „Wy!? Kto smieł?

— Dymitrow, ale puścił dodawszy mi strażnika na drogę.

— „Nu, charaszo! — śmiał się Wasyl Wasyliewicz — ot nasza presławna służba!“

Kola nie spuszczał oczu z Bala, nie dowierzał, a usłyszawszy o aresztowaniu, był przekonany, że wyprawa się nie udała, a Bal ratując się, wszedł do Szaji.

— „A diengi u was jest?“ — spytał Jegorow.

— Przyniosłem i byłbym tu wcześniej, ale zatrzymali mnie strażnicy.

— Szkoda czasu — zawołał Martynow — do gry panowie... pokosztuję polskich pieniędzy.

— Może napijesz się czego? — spytał Kola, chcąc mieć sposobność zbliżenia się.

— I owszem, jestem spragniony, bo też naszukałem się pieniędzy, ale dostałem wszystkie — mówił półgłosem.

— Siadajcie panowie do gry — mówił zniecierpliwiony Jegorow.

— Idziemy, tylko każę zamrozić szampana — rzekł Bal — właśnie o markę sprzeczałem się z Kolą.

— Nu szampan, ot trunek — zaśmiały się oczy naczelnika.

— Zachęcaj ich do picia — szepnął Bal i usiadł do stolika, kazawszy dać szampana.

Tym razem miał Bal niezwykłe szczęście, kupa pieniędzy rosła, co drażniło partnerów i na pokrzepienie sił pili szampana szklankami. Chcąc ułagodzić gorycz naczelników, pożyczył, wbrew zwyczajowi i przesądom gracza, jednemu i drugiemu sto rubli, a gdy Martynow zgrany chciał wstać od stołu, skłonił go do pożyczenia pięćdziesięciu rubli.

W czasie gry tylko ostrożny gracz nie przebiera miary, natomiast inni pod wpływem namiętności gry nie zwracają uwagi na ilość, a jednostajna temperatura pozwala długi czas pić i nie odczuwać skutków alkoholu.

Kolejno zmieniła się karta i mniej więcej wszyscy gracze byli przy swoich pieniądzach.

Po godzinie drugiej zasiedli do krótkiej kolacyi, a Bal znów kazał dać szampana mówiąc:

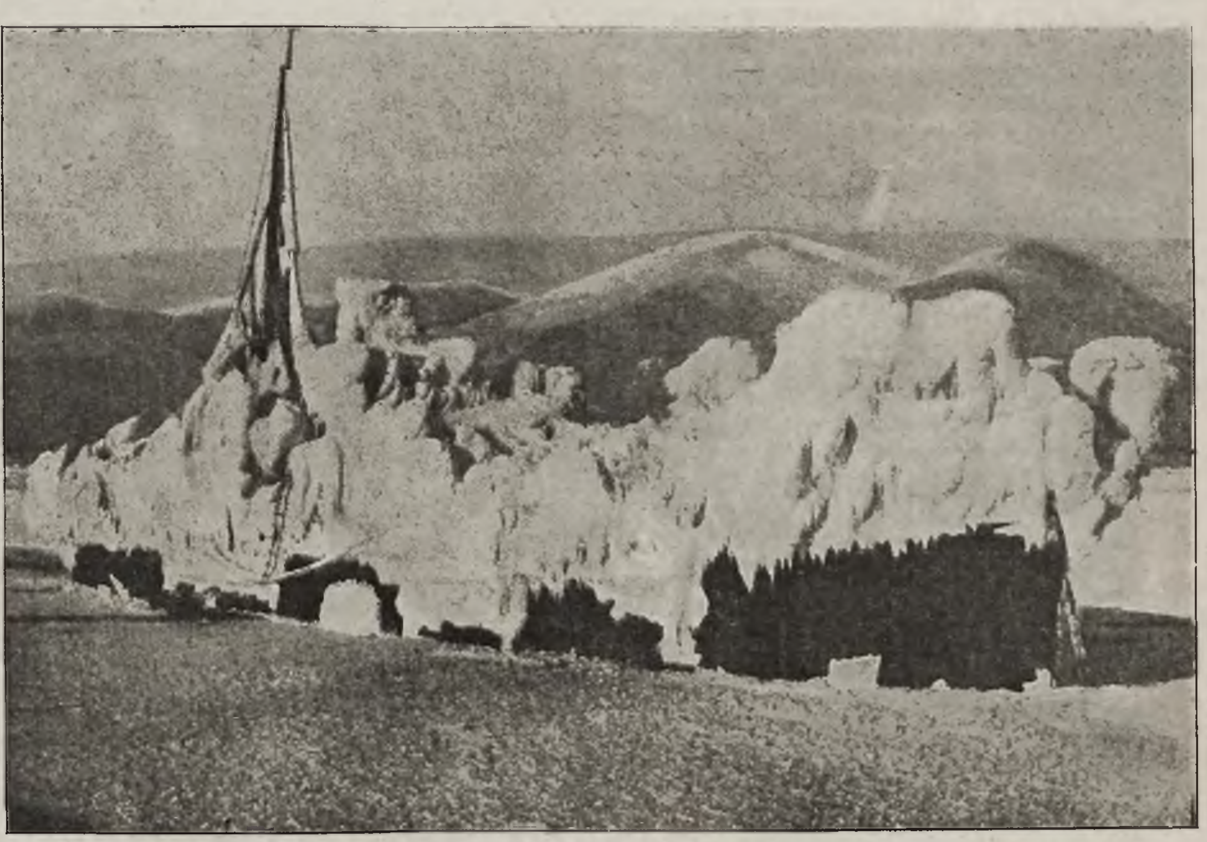
(Ciąg dalszy nastąpi).

## Fenomen natury.

Morze Czarne należy do bardzo niebezpiecznych. Zwano je wprawdzie w starożytności „morzem gościnnem“ („Pontos euxeinos“), w rzeczywistości nie jest niem wcale, bo częste burze i gęste mgły utrudniają bardzo po nim żeglugę. Te mgły właśnie były przyczyną, że nadano mu nazwę „Czarnego“, która to nazwa była już w użyciu w XIII. stuleciu zarówno u Tatarów, jak i Genueńczyków, oraz Wenecyan, utrzymujących przez swe faktorye żywe stosunki handlowe z mieszkańcami pobrzeży tego morza.

Szczególniej zimą warunki nawigacyi na Czarnem morzu są bardzo trudne. W jego wschodniej części wieje wtedy dość często niesłychanie silny wiatr północno-wschodni, zwany w tamtych stronach „abaza“, przynoszący ze sobą oprócz nadzwyczajnego spadku temperatury, olbrzymie opady śniegu. Biada wtedy statkowi znajdującemu się na pełnem morzu! W przeciągu dwóch, trzech godzin spadają nań takie masy śniegu, — jak to widać na zdjęciu podanem w dzisiejszym numerze — że zupełnie z miejsca ruszyć sie nie może. W dodatku mgła, towarzysząca zwykle podobnemu fenomenowi natury, czyni żeglugę w wysokim stopniu niebezpieczną Kapitanowi statku nie pozostaje nic innego do czynienia, jak zatrzymać się w miejscu i czekać, dopóki dobroczynne słońce nie stopi mas śniegowych i nie rozproszy ciemności przez mgłę wywołanych.

Nieraz z tego powodu przychodzi do bardzo smutnych wypadków, bo, przy stosunkowo niewielkich przestrzeniach, po jakich kursują statki pasażerskie po Morzu Czarnem, nie bywają zwykle zaopatrzone w prowiant na dłuższy przeciąg czasu. Zdarzyło się już nieraz, że statek, który powinien był odbyć drogę z jednego portu do drugiego w ciągu doby, potrzebował na przebycie jej pięciu dni do sześciu. Łatwo sobie wyobrazić położenie podróżnych, którzy w tym czasie byli wraz z załogą skazani oniemal na śmierć głodową. Oprócz tego zaś za szczęście poczytać należy, gdy w czasie mgły nie przyjdzie do zderzenia między statkami, odbywającymi drogę w przeciwnym kierunku.



**Fenomen natury:** Statek, który zamarzł, zasypany śniegiem na Morzu Czarnem.

## Z dziejów terroru.

Wiadomo ogólnie, jakie pociąga za sobą smutne następstwa ten stan wrzenia rewolucyjnego, w którym znajduje się państwo rosyjskie od dwóch lat prawie. Morze krwi zostało wylane, setki egzystencyj uległy zniszczeniu, przemysł i handel znalazły się w zupełnym zastoju, bandytyzm się szerzy, a pod względem politycznym niema nadziei poprawy stosunków, bo jedna Duma została rozwiązana, a od drugiej niewiadomo, czego można się spodziewać....

Oprócz Królestwa Polskiego, zostały najbardziej dotkniętemi tą straszną zawieruchą polityczną prowincye nadbałtyckie, a wśród nich na pierwszem miejscu Kurlandya.

Tamtejsza ludność wiejska mięszana, składa się bowiem z Łotyszów, Rosyan, Litwinów, a po części Polaków, zostawała oddawna w stosunku do właścicieli wielkich obszarów, którymi są przeważnie Niemcy, bardzo nieprzyjaznym Wiemy bowiem dobrze, jakim bywa Niemiec, gdy dostanie się do władzy. Otóż teraz, gdy rewolucya ogarnęła Rosyę, nic dziwnego, że dawno tajona nienawiść i chęć pomsty wybuchły z żywiołową siłą wśród mieszkańców Kurlandyi. Rzucono się na dwory znienawidzonych „baronów“ kurlandzkich, wiele z nich spalono, poniszczono zabudowania gospodarskie, a oczywiście nie obeszło się przy tem bez strat w ludziach.

Wkrótce nastąpiła reakcya. Przemożne stanowisko bowiem, jakie zajmują w świecie urzędowym rosyjskim Niemcy z tak zwanych „Ostzejskich prowincyj“, ułatwiło im pomstę nad zbuntowanymi chłopami. Na rozkaz z Petersburga wysłano natychmiast do Kurlandyi ekspedycye karne, a co tam one dokonały — to niezawodnie utkwiło w pamięci Czytelników z doniesień pism codziennych.

Taką właśnie jedną ze scen podczas karnej ekspedycyi przedstawia rycina, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Now. Illustrowanych“. Widać na niej mieszkańców pewnej wioski kurlandzkiej, podejrzanych o knowania polityczne, a którzy mają być rewidowani przed urzędem gminnym przez wyższego funkcyonaryusza policyi, w asystencyi wojska. Maszynowe działo skierowane jest ku podejrzanym, a żołnierze z nabitymi karabinami nie spuszczają z nich oka. Ow funkcyonaryusz ostrzega właśnie zgromadzonych, aby nie próbowali ratować się ucieczką, bo natychmiast zostaną schwytani i rozstrzelani bez sądu. Oczywiście w tym wypadku, jak w wielu innych analogicznych, chodziło o znalezienie pism treści rewolucyjnej, lub browningów, tak wybitną rolę odgrywających w ostatnich czasach dziejów rewolucyjnych zaburzeń w Rosyi.



**Z dziejów terroru:** Wojsko rosyjskie odbywa rewizyę podejrzanych politycznie chłopów kurlandzkich.

## Jarosze w Askonie.

Zatarg małżeński, jaki zaszedł między byłym arcyksięciem, a obecnym obywatelem Helwecyi, Leopoldem Wölflingiem i jego żoną, z domu Adamowicz, zwrócił uwagę powszechną na kolonię jaroszów w Askonie, miejscowości położonej nad Langersee w Szwajcaryi. Są to ludzie szczególnego rodzaju, marzyciele, asceci, którzy w powrocie do życia najprostszego upatrują zbawienie dla ciała i duszy.

Pani Wölflingowa stała się gorącą zwolenniczką ich sposobu życia, a oprócz tego chciała nakłonić swego męża, by wstąpił w jej ślady. To jednak się jej nie udało, owszem spowodowała ostry zatarg małżeński, który jednak nie doprowadził do seperacyi, jak to pierwotnie doniosły dzienniki.

Do bliższej znajomości z jaroszami askońskimi państwo Wölflingowie doszli w ten sposób, że wśród jaroszów osiadł niejaki Graeser, były oficer austryacki, którego łączyła przyjaźń z Wölflingiem z czasów, gdy razem służyli w wojsku. Ten zaprosił w roku ubiegłym swego dawnego kolegę, aby go w Askonie odwiedził i odtąd datuje się znajomość pani Wölflingowej z tymi dziwakami, którzy lat temu sześć osiedli w Askonie.

Nabyli oni wtedy kilka na poły zrujnowanych chałup i parę morgów nieurodzajnego gruntu, który ciężką pracą zamienili na urodzajny, dający im obecnie tyle, że mogą zeń wyżyć przy swych nader skromnych potrzebach. Jarosze askońscy ograniczyli wprawdzie do minimum swe potrzeby, na

punkcie ubrania i w ogóle komfortu — nie prawdą jest jednak, jakoby nie znali użytku wody i mydła do czyszczenia ciała, jak to o nich złośliwi twierdzili. Że żyją inaczej, niż reszta współczesnych mieszkańców Europy, to może się komuś niepodobać, ale nie powinno stanowić powodu do potępienia tych dziwaków, którzy w myśl wielu głębokich myślicieli, n. p. Ruskine'a, postanowili zerwać z dotychczasowym szablonem życiowym, wytworzonym przez kulturę ostatnich stuleci.

między posiadłościami Anglii i niemniej agresywnej Francyi, sytuacya władcy Syamu jest pożałowania godną, oba bowiem te państwa czychają na to tylko, aby wejść w posiadanie Syamu. Odwiedzi on zatem naprzód Londyn, następnie Paryż, a później Berlin, gdzie — niewiadomo z jakiej racyi — zbiegają się nici polityki europejskiej w sprawach, odnoszących się do dalekiego Wschodu. Widocznie polityka „żelaznej pięści“, którą kilka lat temu tak wyraźnie całemu światu głosił cesarz — mówca i podróżnik,

rem małżonki, czując się poprzednio dotkniętymi w swej dumie narodowej przez odmowy, jakie spotkały Napoleona III-go ze strony kilku domów panujących.

Dopiero jednak w roku 1856, gdy przyszedł na świat następca tronu, „prince imperial“, Napoleon, cesarzowa Eugenia stanęła u szczytu swej popularności. Podczas wojny z Austryą powierzył jej mąż regencyę państwa, podobnie jak w roku 1865, gdy odbywał dwumiesięczną podróż do Algieru



Jarosze w Askonie: Mieszkańcy kolonii jaroszów używają kąpieli »słonecznej«.



Jarosze w Askonie: Jeden z jaroszów, udający się w pole do pracy z wózkiem.

Jedna z rycin, jakie do tego artykułu podajemy, przedstawia wnętrze kolonii askończyków, podczas gdy używają kąpieli słonecznej, druga zaś jednego z kolonistów przy pracy w stroju adamowym, a trzecia znów innego wraz z prymitywnym zaprzęgiem.

## Egzotyczny cesarz.

Daleko, na południu Azyi, w Indyach zagangesowych leży kraj, który my Europejczycy nazywamy Syamem, a który jego mieszkańcy zwą: Sejmem lub Muang Thuï. Mierzy on 520 000 kilometrów kwadratowych powierzchni, a więc jest niewiele mniejszy od niemieckiej Rzeszy. Pomimo tego na tej ogromnej przestrzeni mieszka zaledwie 6 milionów mieszkańców, wśród których Chińczycy i Malajczycy stanowią przeważnie połowę.

Obecny władca i cesarz tego państwa, który nazywa się, (dokładnie) Fan-Cza-Czula Longkorn, a w Europie nosi krótką nazwę Czula-Longkorna przyjeżdża do Europy, aby na wzór innych władców egzotycznych zawiązać bliższe stosunki z cywilizowaną Europą. Nie będzie on tutaj zupełnie obcym, mówi bowiem bardzo dobrze po angielsku, następcę zaś swego tronu wysłał na wychowanie do petersburskiego korpusu paziów.

Skutkiem tego, że jego państwo zamknięte jest



Jarosze w Askonie: Jeden z członków kolonii jaroszów przy pracy w ogrodzie.

jeszcze i teraz jest w kursie, chociaż nie rozchodzi się o Chiny. A i to także odgrywa w tym wypadku wpływ decydujący, że Syam posiada ogromne lasy, gdzie rośnie owe sławne z twardości drzewo „teak“, tak często używane przy budowie statków, dalej zaś, że, jak stwierdziły badania uczonych, w górach tego kraju znajdują się bogate pokłady żelaza, złota, ołowiu i miedzi. Te względy oczywiście są powodem, że Niemcy zwróciły swe oko na Syam, bo zawsze patrzą tam, gdzie jest coś do zabrania.

Cesarz Czulalongkorn, najprawdopodobniej zachęcony przykładem Japonii, która poczyniła wcale nie złe interesa, przyswajając sobie zdobycze kultury europejskiej, pragnąłby najniezawodniej wstąpić w jej ślady. Wątpliwem jednak jest, czy mu się to uda, zważywszy drobne siły, jakiemi rozporządza. Państwo, gdzie „biały słoń“ dotąd jest czczony, jako wcielenie bóstwa, nie ma zbyt wielkiego prawa do wkraczania do wielkiej rodziny cywilizowanych narodów.

## Zdetronizowana monarchini.

Losy ludzkie są bardzo zmienne. Stara to prawda, a już na nikim tak się nie sprawdziła, jak na ex-cesarzowej Eugenii, małżonce „cesarza Francuzów“, Napoleona III. W młodości karyera jej była rzeczywiście fenomenalną. Urodzona 1826 roku w Granadzie w Hiszpanii, jako córka podupadłego hiszpańskiego „hidalga“, hr. de Montijo, księcia Peneranda, miała dość burzliwą młodość, którą spędziła po części w Anglii, a po części we Francyi, podróżując ze swoją matką pod nazwiskiem hrabianki Teba. Już wtedy krążyły o niej pogłoski, że nie jest wcale córką swoich rodziców, tj. hr. Montijo, lecz córką królowej Krystyny, która tak smutną rolę odegrała w dziejach Hiszpanii.

Ku końcowi lat czterdziestych zaczęła wschodzić gwiazda Napoleona III-go, podówczas dopiero prezydenta drugiej republiki francuskiej. Na świetnych przyjęciach, jakie dawał on w pałacu Elizejskim, egzotyczna piękność Eugenii hrabianki Teba zwracała na siebie powszechną uwagę nietylko towarzystwa, ale i samego gospodarza. Gdy po zamachu stanu w 1851 roku, prezydent rzeczypospolitej nadał sobie godność cesarza, zapragnął znaleść małżonkę z jednego z domów panujących. Zawiódł się jednak w staraniach: wszędzie dostał kosza. Nawet ręki jednej z najpiękniejszych polskich arystokratek (księżniczki Heleny Sanguszkówny) odmówiła mu rodzina. Wtedy zwrócił się do hrabiny Montijo i nie bez skutku, bo piękna jej córka została jego żoną. Ślub odbył się 30 stycznia 1853 roku w katedrze Notre Dame w Paryżu. Francuzi, którzy wówczas przepadali za swoim cesarzem, byli zachwyceni jego wybo-

i w roku 1870, gdy rozpoczął wojnę z Niemcami, która tak smutno i dla niego i dla Francyi się skończyła.

Podczas powstania polskiego w 1863 roku cesarzowa Eugenia trzymała naszą stronę. Niestety nie udało się jej popchnąć swego wiecznie chwiejnego męża do wybitnej interwencyi na korzyść Polaków. Napoleon obiecywał dużo, ale w końcu nic dla nas nie uczynił.

Gdy po za plecami Napoleona tworzyła się potęga nowych Niemiec, przeważnie skutkiem szczęśliwej wojny w 1866 z r. z Austryą, cesarzowa Eugenia przewidywała grożące Francyi niebezpieczeństwo i była za wojną. Jednakże podobnie jak jej mąż, przeceniła siły wojskowe Francyi, a wła-



Egzotyczny cesarz: Władca Syamu, Czulalongkorn, który wyjechał w podróż do Europy.

ściwie nie doceniła sił przeciwnika. Rezultatem tego była wielka klęska, skutkiem której wybuchła rewolucya 4 września 1870 roku. Cesarzowa była zmuszoną potajemnie opuścić pałac Tuileryjski i schronić się do Anglii. Tam, w rezydencyi Chislehurst połączyła się później ze swym mężem, skoro opuścił niewolę w Niemczech.

Po śmierci Napoleona III., która nastąpiła w styczniu 1873 roku, oddała się ex-cesarzowa wychowaniu swego jedynaka. Ale i w tym względzie nie dopisywało jej szczęście. Niedoszły władca Francyi czuł się przez matkę pokrzywdzonym, gdyż pomimo ogromnego majątku prywatnego, jaki uratowała z rozbicia, wcale nie chciała dostarczać mu funduszów na odpowiednie pochodzeniu życie. To też, jak tylko nadarzyła się sposobność, opuścił on Anglię i wstąpił jako ochotnik do angielskiego wojska, walczącego wówczas, t. j. w 1879 roku, z Zulusami w Afryce południowej. Przy odbywaniu patrolu został ks. Napoleon otoczony przez dzikich i zamordowany.

Był to cios straszny dla zdetronizowanej monarchini. Sama udała się do Kapsztadu, skąd zabrała zwłoki syna i od tego czasu nie zdjęła ze siebie żałoby. Rezyduje stale w Chislehurst pod Londynem, gdzie znajduje się grobowiec jej męża i syna, a jeżdżąc po Europie, używa nazwiska hr. Pierrefonds.

Z jej najnowszej podobizny, jaką zamieszczamy w dzisiejszym numerze naszego pisma, trudno byłoby domyśleć się, że to ta sama cesarzowa Eugenia, którą jeszcze starsza generacya pamięta, jako pierwszorzędną piękność i jako królową mody, bo tę dyktowała całemu cywilizowanemu światu. Owe osławione krynoliny, prawdziwe utrapienie ludzkości przez lat prawie dwadzieścia, miały być jej wynalazkiem. „Sic transit gloria mundi!"

## Pruska łapa.

Na urągowisko cywilizacyi XX-go wieku już od dwóch lat bez mała toczą Niemcy bezlitosną wojnę z murzyńskiem plemieniem Herrerów w swych posiadłościach południowo zachodnich afrykańskich. Dawniej mawiano, że gdzie przejedzie Turek tam nawet trawa nie porośnie; dziś to samo powiedzenie możnaby zastosować do Niemców, a właściwie do Prusaków, nadających ton i kierunek całej polityce zagranicznej Rzeszy Niemiec.

Centrum w parlamencie Rzeszy Niemieckiej, które świeżo spowodowało rozwiązanie tegoż parlamentu, użyło jako punktu wyjścia ostrej krytyki sposobów, jakimi się rządzi w afrykańskich koloniach Niemiec. Że krytyka była aż nadto słuszną tak pod względem ekonomicznym, jak i humanitarnym, najlepszym tego dowodem wynik wyborów ostatnich, z których na złość wiecznie uśmiechniętemu kanclerzowi Bülowowi, stronnictwo to wyszło nietylko niepobite, ale nawet zyskało ośm nowych mandatów. Oczywiście tedy, jak tylko zbierze się parlament w nowym swym składzie, rozpocznie się znów walka między urzędem kolonialnym, na którego czele stoi osławiony Dernburg, a partyą centrum, niezawodnie zdecydowaną bronić dotychczas głoszonych przez się haseł.

Jak obchodzą się niemieccy kulturtregerzy z podwładną sobie ludnością murzyńską — łatwo się przekonać z licznych procesów, które władze niemieckie zmuszone są pod naciskiem opinii publicznej wytaczać swoim funkcyonaryuszom w Afryce pracującym dzielnie nad ucywilizowaniem murzynów. Taki np. proces ks. Ahrenberga, porucznika wojsk kolonialnych, który bez sądu wytracił moc czarnych, a niekiedy zabawiał się wierceniem w mózgu jeszcze żyjących ofiar za pomocą stępla od karabinu — daje miarę czysto pruskiej kultury.

Zdjęcie, jakie dziś podajemy, przedstawia kilku dzielnych Herrerów, wziętych do niewoli, a którzy wkrótce zostaną rozstrzelani. Ciekawą rzeczą byłoby wiedzieć, która to fabryka niemiecka dostarczyła tych ciężkich łańcuchów, jakiemi skuto tych biedaków za szyje?... Skandal! Takich barbarzyństw nie można nigdzie spotkać na świecie — chyba tylko tam, gdzie rządzą synowie „państwa bojaźni Bożej i dobrych obyczajów". Rzeczywiście, gdzie Prusak położy swą łapę — niema już miejsca dla ludzi, co nie chcą nosić czarno-białej kokardy.



**Zdetronizowana monarchini:** Ex-cesarzowa francuska Eugenia, wdowa po cesarzu Napoleonie III-cim.

## Następca Polonyi'ego.

„Czuć coś zgniłego w kraju Duńczyków" — możnaby powtórzyć za Szekspirem — słysząc, co się dzieje w kraju Arpada. Gdy koalicya, po tylu awanturach i z koroną i innemi stronnictwami, przyszła wreszcie do tak upragnionej władzy, zdawało się — przynajmniej pewnej części węgierskiego narodu — że nastaną złote czasy nad Dunajem i Cisą. Złudzenie to jednak trwało nie długo: zanim ministerstwo koalicyjne zdołało utrwalić gmach swej budowy, już na niem okazują się poważne rysy, zapowiadające możliwą ruinę.

Niezawodnie tkwią świeżo w pamięci Czytelników skandaliczne okoliczności, jakie towarzyszyły ustąpieniu dotychczasowego węgierskiego ministra sprawiedliwości, Gejzy Polonyi'ego, któremu pewna część przyjaciół politycznych zgotowała „honorowy pogrzeb polityczny" — wedle złośliwego wyrażenia ze strony nieprzyjaciół upadłego ministra. Pomimo tego znajduje się nawet wśród stronnictw skoalizowanych znaczna liczba posłów, którzy trzymają stronę dymisyowanego ministra, a między innymi Kossuth, jeden z najwybitniejszych przywódców tego właśnie stronnictwa, które Polonyi'emu ofiarowało tak ważną tekę sprawiedliwości.

Nie pomogło przecież poparcie przyjaciół, gdy rozpoczęły się ataki ze strony byłego burmistrza Hallmos, dalej posła Lengyela, a szczególniej, gdy wyszły na jaw niewyraźne stosunki Polonyi'ego do baronowej Schönbergerowej, awanturnicy pierwszej wody. Zmuszono go moralnie, aby podał się do dymisyi, którą też niezwłocznie otrzymał.

Jego następcą został mianowany dr. Antoni Günther (którego podobiznę dajemy w dzisiejszym numerze) urodzony w 1844 roku w Stuhlweissenburgu, dotychczasowy sekretarz stanu, a wielki przyjaciel hr. Apponyi'ego, który w rządzie obecnym węgierskim nie należy wcale do serdecznych przyjaciół ani prezydenta Wekerlego, ani też Kossutha.

W młodości swej obecny minister wstąpił do zakonu Pijarów, opuścił go jednak wkrótce i poświęcił się, uczęszczając na uniwersytet, dziennikarstwu. Otrzymawszy z biegiem czasu dyplom na adwokata, zdobył sobie uznanie w sferach fachowych i wybitne imię, jako tęgi autor wielu rozpraw z dziedziny prawa karnego i cywilnego. Przez pewien czas był czynny w stenograficznem biurze Sejmu węgierskiego, do którego został wybrany w 1901 roku. Już w cztery lata później, gdy rozpadała się partya liberalna, która tyle lat dzierżyła ster rządów węgierskich, opuścił jej szeregi także dr. Günther. Jego następcą mianował król posła Mesko, jako sekretarza stanu w ministerstwie sprawiedliwości.

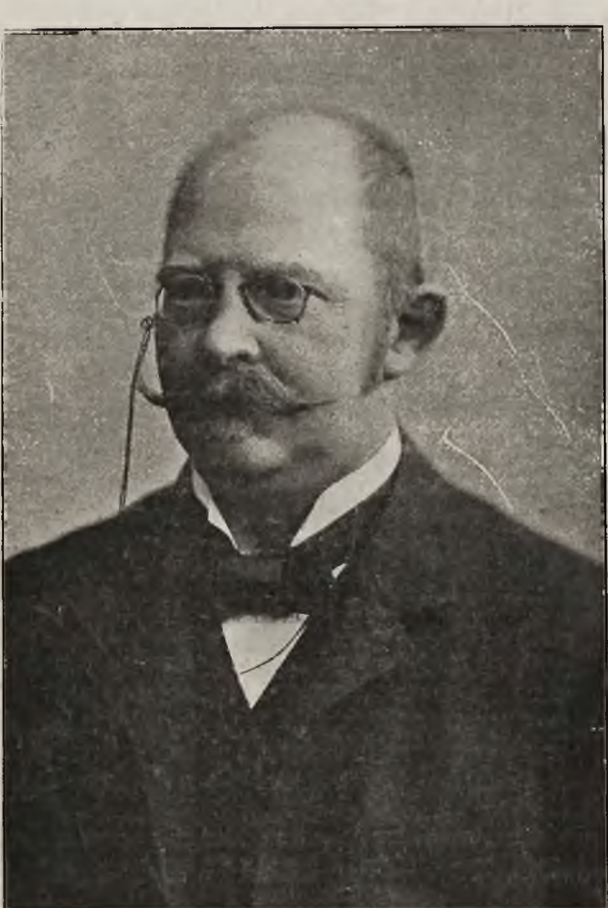
## Anzelmi.

Przez operę warszawską przesunęło się w ciągu lat ostatnich wiele „gwiazd" śpiewających, których ojczyzną były zazwyczaj Włochy. Bywały to gwiazdy płci obojga, jedne o istotnym blasku pierwszorzędnym, inne migocące już resztkami tylko świetności, którą za lepszych swych czasów pogubiły po drodze przez inne kraje do Syreniego grodu, ale dzięki sławie, zdobytej poprzednio za granicą, cieszące się jeszcze fenomenalnem powodzeniem nad Wisłą.



**Pruska łapa:** Herrerowie, schwytani przez Niemców, okuci w ciężkie kajdany, oczekują rozstrzelania.

Z pośród mnóstwa śpiewaków i śpiewaczek z włoskiego pochodzenia, którzy mieli szczęście podobać się Warszawie, znalazło się kilkoro wybrańców, a w tych już na zabój kochały się jak najszersze koła stałych bywalców teatralnych, ba, nawet niekiedy cała publiczność bez różnicy płci i wieku. Zwłaszcza póki Warszawa cała była jeszcze istną teatromanką, zanim popadła w powszechne rozpolitykowanie się obecne, zajmowano się w mieście popularnym w danej chwili aktorem,



**Następca Polonyi'ego:** Dr. Antoni Günther, nowy minister sprawiedliwości na Węgrzech.

albo modną w ciągu jednego sezonu aktorką, czy z dramatu lub operetki, czy też z baletu lub opery — bardziej aniżeli najważniejszemi kwestyami politycznemi...

Właśnie z owych to czasów, tak bardzo jeszcze niedawnych, pochodzą pamiętne w operze warszawskiej tryumfy to Batistiniego, to znów Anzelmiego, za którymi szalały dosłownie rozkochane Warszawianki — i którzy też sobie, w szczególności w owych czasach tuż przed wojną japońską i przed rewolucyą, chwalili Warszawę najbardziej ze wszystkich miast europejskich, mimo, że obaj, jako śpiewacy operowi, mogli śmiało świat cały podbijać.

Wiadomo wszakże, że był czas, kiedy szykowne Warszawianki podzieliły się na dwa wrogie obozy entuzyastek i Batistinistki wiodły walkę zaciętą z Anzelmistkami. Wprawdzie i po dziś dzień, mimo zmienionych czasów, Batistini pozostał faworytem warszawskiej publiczności teatralnej, ale Anzelmi stanowczo pobił go na głowę. Odgłosy uwielbiań i zachwytów dla tego słynnego tenora zagłuszyły nawet głośną sławę tamtego ulubieńca. Dziś Anzelmi śpiewa znów w Warszawie i zdobywa sobie, jak dawniej, wyjątkowe, niemal bajeczne powodzenie w świecie muzykalnym i w sercach warszawskich entuzyastek — swym tenorem i swoją postacią. I to właśnie skłania nas do zamieszczenia w dzisiejszym numerze podobizny ostatniej rozgłośnego śpiewaka włoskiego.

## Oszustwo spadkowe.

Przed niedawnym czasem umarł w Krakowie ś. p. Władysław Dębski, właściciel dużej i pod względem hipotecznym czystej zupełnie kamienicy l. 3 przy placu Wolnica (załączamy dziś fotografię tego domu). Wśród lokatorów tejże kamienicy znajdowali się Salomon Glassman, Simche Urbach i Koppel Rebenstock, którzy mieszkając przez kilka lat w domu nieboszczyka i żyjąc z nim bliżej, znali dokładnie jego stosunki rodzinne i wiedzieli że spadek po zmarłym dziedziczą dwaj jego bracia. Jeden z nich, Jan, mieszka w Krakowie, drugi zaś Gustaw, przebywał w Rumunii. Glassman i jego spólnicy postanowili wyzyskać znajomość tych stosunków, a wiedząc, że mieszkający w Jassach Gustaw Dębski jest niepoprawnym alkoholikiem, jego obrali za przedmiot spekulacyi.

Zaraz po śmierci Władysława, pojechali wszyscy trzej do Ickan i zatelegrafowali do Gustawa, żeby zaraz z Jass przyjechał, rzekomo pożegnać się z odjeżdżającym do Ameryki bratem, którego śmierć jeszcze udało się im zataić przed Gustawem. Ten usłuchał wezwania i przyjechał niezwłocznie do Ickan. Tam w hotelu spekulanci uraczyli go trunkami, przyczem zręcznie przesuwali z szelestem przed oczyma alkoholika banknotami stukoronowymi. Opowiadali pijanemu, że brat jego Władysław pozaciągał ogromne długi na swą kamienicę, że wreszcie straciła ona prawie wszelką wartość.

Nakoniec zawiadomili go o śmierci brata, zapewniając, że co w spadku pozostało wolne od długu, zabrał drugi brat Jan w Krakowie, a trzebaby prowadzić długi i kosztowny proces, by cokolwiek uzyskać dla Gustawa Ten pod wpływem namów i dalszych kieliszków wódki, zgodził się wreszcie na odstąpienie praw spadkowych Glassmanowi i jego spólnikom za gotówkę 1000 koron oraz rentę miesięczną do żywotną w kwocie 20 koron. Pojechał tedy z trzema oszustami do Suczawy dla załatwienia sprawy u adwokata, ten jednak mając widocznie jakieś podejrzenia, sprawy przyjąć nie chciał i dopiero u notaryusza, zdaje się, mniej podejrzliwego, podpisał Dębski akt, w którym odstąpił za powyższą cenę wszelkie pretensye po bracie, które przedstawiały wartość przeszło 50 000 koron.

Glassman ze spólnikami wrócił do Krakowa i tu na podstawie cessyi notaryalnej, zgłosili się do spadku. Oszustwo ich byłoby się udało w zupeł-



**Anzelmi,** słynny tenor włoski, zbierający obecnie tryumfy w Warszawie.

ności, gdyby nie dalszy tryb życia Gustawa Dębskiego w Rumunii. Nie rozporządzał on jeszcze nigdy sumą 1020 koron, więc raz taką gotówkę dostawszy z rąk Glassmana, rozpoczął pić bez pamięci, siejąc pieniądzmi naokół, że to aż zwróciło uwagę policyi rumuńskiej. Zawiadomiona przez nią policya krakowska, wezwała Dębskiego do natychmiastowego powrotu. Ten wprawdzie wyjechał zaraz do Krakowa, ale pijąc po drodze bez przerwy, odbywał podróż aż dziesięć dni, to też kiedy wreszcie stanął w Krakowie, zostało mu zaledwie 262 kor., których nie zdążył jeszcze puścić na pijatykę. Na skutek opowiadań Gustawa Dębskiego w policyi, aresztowano w Krakowie Salomona Glassmana, nazajutrz zaś Simchę Urbacha. Do tej chwili jednak nie wyśledzono jeszcze Rebenstocka.

Obaj aresztowani zostali już odstawieni do sądu karnego.

W policyi krakowskiej Simche Urbach zachowywał się niezmiernie butnie i utrzymywał, że bezwarunkowo nie uznaje kompetencyi policyi, która go za to z miejsca skazała na 12 godzin aresztu by powstrzymać jego zapał do awantur.

A tymczasem ów Simche Urbach bynajmniej nie ma powodu oburzać się za aresztowanie go, ponieważ jest oszustem notorycznym.

Pamiętną na przykład w Krakowie pozostała głośna swego czasu sprawa jego spekulacyj — nie spadkowych — lecz koniakowych. Pan Urbach miał niegdyś fabrykę koniaku, wytwarzanego z... worków.

Łatwo tedy przewidzieć, iż udowodni mu sąd winę w obecnej spekulacyi na kamienicy Dembskich do spółki z Glassmanem. Publiczność krakowską czeka tedy wkrótce sensacyjny proces.



Fot. W. Lis w Krakowie.

**Oszustwo spadkowe:** Dom ś. p. Władysława Dębskiego na placu Wolnica w Krakowie.

# Walka o milion.

Powieść na tle notatek amerykańskich detektywów

przez M. Walter

7 B. Felicyan tłomaczył z angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Udało mi się dotrzeć do jego londyńskiego mieszkania i tu znalazłem list, który przed dwoma miesiącami pisał z Ameryki do swej kochanki zajmującej jego mieszkanie. A więc do Ameryki! Mam dobre przeczucia i one niech pana uspokoją, niech pana pocieszają.

* * *

Gdy Ferrars płynął do Ameryki. Jocellyn śledził Jasona Bradmardine, a Stuart zajmował się tragedyą Arteveldtów, nie zapominając przytem i o kradzieży u Durandów.

Wiedząc od Kate Scaton, że Leonora przebywała w Fairlic, pomyślał, że tam przecież dowiedzieć się czegoś można. Szczególniej liczył na opiekuna Leonory, doktora Austina. Przebrał się skromnie, aby wyglądać na młodzieniaszka nieśmiałego i niedoświadczonego. W Fairlic był tylko jeden zajazd; w nim zakwaterował się skromny młodzieniaszek i wnet potem udał się w odwiedziny do doktora Austina.

— Przepraszam bardzo, że jestem natrętny, rzekł młodzieniaszek na wstępie. Nazywam się Austin; dowiedziałem się, że pan doktor ma to samo nazwisko. Ucieszyłem się bardzo, bo może natrafię na mojego stryja.

Doktorowi spodobał się skromny, nieśmiały młodzieniec i jego naiwność; przyjął go też życzliwie i cierpliwie słuchał.

— Czy pan doktor nie miał brata Jakóba? Bo mój ojciec miał imię Jakób.

— Nie, nie miałem wcale brata.

— A to szkoda. Cieszyłem się, że pan doktor jest moim stryjem. Ja panu doktorowi zaraz powiem, jak to było. Mój ojciec Jakób miał brata Henryka. Rodzice chcieli, żeby gospodarował na wsi, wraz z moim ojcem, ale on nie miał do tego zamiłowania, tylko pragnął uczyć się medycyny. Rodzice, a moi dziadkowie, nie chcieli na to zezwolić i gniewali się na niego bardzo, więc on uciekł z domu i został lekarzem i tak się gdzieś ukrył, że już nikt o nim nie słyszał. Mój ojciec umarł, gospodarstwo objął mój starszy brat i mnie połowę majątku spłacił w gotówce. Przyjechałem tu, żeby kupić sobie jaką farmę i gospodarować. Dowiedziałem się w zajeździe, że tu jest dr. Austin. Pomyślałem sobie, że to pewno mój stryj i dlatego tu przyszedłem. Co za szkoda, że pan doktor nie jest moim stryjem.

Dr. Austin uśmiał się serdecznie z tej naiwnej prostoty młodzieniaszka i bawiła go ta historya:

— Chociaż nie jestem pańskim stryjem, miło mi pana powitać. Jeżeli osiedlisz się w pobliżu, proszę mnie odwiedzać i pamiętać o mnie, jak gdybym naprawdę był pańskim stryjem.

— Serdecznie dziękuję panu doktorowi, będę z tego korzystał, bo powiem szczerze, że i ja mam ogromną chęć uczenia się medycyny. Byłbym już dawniej to zaczął, ale mój ojciec sobie nie życzył. Być może, że jeżeli nie znajdę jakiego korzystnego kupna, to pojadę gdzieś na uniwersytet.

Dr. Austin nie miał na wsi miłego dla siebie towarzystwa, więc, powziąwszy wielką dla chłopca sympatyę, zaprosił go do siebie.

— Wiesz co mój kochany imienniku? może ci się spodoba mój projekt? Zamiast mieszkać w zajeździe, sprowadź się tu do mnie. Tu będziesz mógł przypatrywać się zajęciom lekarskim, skoro do medycyny masz taki pociąg, a to nic ci nie przeszkodzi w szukaniu kupna farmy. Będziesz miał sposobność zbadać się dokładniej i przekonać ostatecznie, czy się nie łudzisz, czy twój pociąg do medycyny jest prawdziwy.

Oczywiście, że ta propozycya jakby z nieba spadła Stuartowi, więc też podziękował uprzejmie i w godzinę potem zajmował już piękny pokój w mieszkaniu doktora.

Tego samego dnia jeszcze wstąpił do zajazdu, żeby zabrać pozostawione tam rzeczy. Jakież było jego zdumienie, gdy zobaczył w restauracyi za stołem Bradmardina w towarzystwie jakiegoś młodego mężczyzny. Zbliżył się do nich pod pozorem, że chce poprosić o gazetę leżącą na stole

Przypatrzywszy się z bliska towarzyszowi Bradmardina, rzekł do niego w tym samym tonie prostej naiwności w jakim przemawiał do doktora.

— Czy mogę pana poprosić o przysługę? praszam bardzo, że pana niepokoję; mała przysługa. Nie mogę zliczyć się z gospodarzem, cyfry nasze się nie zgadzają, niech pan będzie łaskaw pomódz nam w tej sprawie.

Towarzysz Bradmardina wstał i wyszedł z nieśmiałym młodzieńcem. Gdy stanęli przed domem, szepnął Stuart:

— Co ty tu robisz Bob?

— To ty Neil? a to z ciebie gracz doskonały! Już po raz trzeci tak się sprawiłeś, żem cię nie poznał. Ale cóż ty tu robisz?

— Jak się domyślasz zapewne, gonię za Bradmardinem.

— A ja za morderczynią Arteveldta.

— Arteveldt zamordowany? Opowiadajże wszystko.

Stuart opowiedział całą historyę Jocellynowi, z wszelkiemi szczegółami.

— Rana Arteveldta jest tak niezwykła, że lekarze się nad nią zdumiewali; zadana narzędziem tak cienkiem, a ostrem, jakiego chyba żaden morderca nigdzie i nigdy nie użył. Na skroni maleńki otworek i na nim kropla krwi.

— W ten sam sposób zamordowano Szwarca i jego siostrę — rzekł Jocellyn. — To szczególne, może to jeden i ten sam sprawca obu morderstw. Na kogo padło podejrzenie?

— Na kobietę — odpowiedział Stuart — i to na żonę Arteveldta, chociaż ja w to bardzo po wątpiewam. Powiem ci nawet szczerze, że przyjechałem tu, aby szukać raczej dowodów niewinności tej, którą posądzają, niż dowodów jej winy.

— A gdzież się podziała ta żona Arteveldta? — pytał Jocellyn.

— Znikła tajemniczo i bez śladu, jak twoja Eliza Szwarc.

— Cóż zamierzasz uczynić?

— Działajmy teraz wspólnemi siłami — odpowiedział Stuart. — Zdaje mi się, że nasze sprawy łączą się w jedną. Przypuszczam, że Eliza Szwarc jest zarazem morderczynią Arteveldta, więc wspólne działanie w ciągłem porozumieniu konieczne. Ja tutaj zostanę, ażeby czegoś dowiedzieć się od tego poczciwca. który mnie w gościnę zaprosił.

Jako opiekun Leonory przecież miał dość sposobności poznać jej charakter, a wszelkie wyjaśnienia co do jej charakteru będą dla mnie bardzo pożądane Będę się starał dociec także, dlaczego matka Leonory ukrywała się na wsi i unikała miasta. Ty, mój drogi, wracaj do Chicago i miej tam na oku dom przytykający bezpośrednio do willi, w której zabito Arteveldta. Bo to widzisz mój drogi mnie się zdaje, że w owym domu znajdziemy rozwiązanie zagadki. Ten dom łączy się bezpośrednio z willą, tak że może wraz z nią jedno tworzyć mieszkanie. Zaraz potem. gdy Arteveldt willę dla siebie wynajął, wynajęła ów dom jakaś z pozoru poważnie wyglądająca dama, z zamiarem urządzenia tam gościnnych pokoi, czyli pensionatu. W dniu popełnienia morderstwa dom był wprawdzie jeszcze pusty, ale już w posiadaniu owej damy. Nasuwa mi się przypuszczenie, że może z tego domu właśnie wślizgnął się do willi morderca Arteveldta. Nabrałem tego podejrzenia, zobaczywszy raz przypadkowo naszego murzyna, jak z tamtąd wychodził. Murzynek odsiedział karę i teraz może szuka sobie nowego przytułku, a może w tym domu uściełło się gniazdo, należące do twojej specyalności. Obejmijże straż nad tym domem, a ja będę tu pracował.

— Piękne rzeczy mi opowiedziałeś; dobry z ciebie chłopiec; pojadę zaraz do Chicago. Wzamian ja ci powiem coś ciekawszego. Słuchaj chłopcze: owa pani, co pisywała listy do Bradmardina, które znalazłeś, nazywała się Arnym i umarła przed dziewięciu miesiącami. Dzieckiem, które jej wydrzeć chciano, jest Leonora Arnym, Bradmardine zaś szuka jej również jak i ty i po to tu przybył, ale oczywiście szuka jej z innych zupełnie powodów, niż ty mój chłopcze.

## XIII.

## Pierwszy ślad.

Wróciwszy do Chicago poszedł Jocellyn do owego domu, nad którym miał straż zaciągnąć. Na bramie widniał napis: „Pension Rogers“. Zadzwonił. Drzwi otworzyła dama w starszym wieku, ubrana z przesadną elegancyą.

— Chciałbym poprosić o wynajęcie mi pokoju — rzekł uprzejmie Jocellyn.

— Przyjmuję tylko znajomych, lub takie osoby, które mi ktoś przedstawi lub poleci — odpowiedziała chłodno.

— O! jeżeli tego potrzeba, to mogę pani służyć poleceniami najznakomitszych osób.

— W tej chwili nawet i toby się nie na wiele przydało, bo niema miejsca. Proszę jutro się zgłosić; być może, iż się kto wyprowadzi, bo niektórzy goście zniechęcili się tu wskutek mordu w przyległej willi.

— Dziękuję pani, do jutra poczekam.

Odszedł, ukłoniwszy się uprzejmie wyniosłej damie, a po drodze pomrukiwał: „a to chytra baba“.

Następnego dnia przed południem obchodził Jocellyn wszystkich jubilerów po kolei i z każdym odbywał konferencyę ponfną w cztery oczy. Wszędzie bawił krótko, aż u siódmego z rzędu zatrzymał się dłużej.

— Istotnie powierzono mi niezwykłe opale do oprawy — rzekł jubiler. — Zobaczę zaraz do książki.

— Bardzo proszę; niech pan najdokładniej sobie przypomni. Powtarzam jeszcze, iż skradziono brylanty, rubiny, opale. Domyślamy się, że złodziej nie uszedł jeszcze z miasta, dlatego musimy się spieszyć.

— Jest, jest adres — rzekł jubiler, przejrzawszy książkę. — Proszę przeczytać, co tu zano towałem.

Jocellyn czytał następującą notatkę: „Trzy wielkie opale najprzedniejszej jakości. Przed ośmiu dniami przyniosła mi je do oprawy jakaś nie znana mi panna. Dziwiłem się bardzo skąd je wziąć mogła, takie rzadkie okazy, ale że była w towarzystwie osoby należącej do znakomitej, znanej powszechnie rodziny, więc nie mogłem nic złego podejrzywać.

— Jak to pięknie, że pan sobie wszystko zapisuje — rzekł Jocellyn.

— Ależ to konieczne ze względu na bezpieczeństwo przed złodziejami i na powagę firmy.

— Na kiedy miała być gotową pańska robota?

— Właśnie dziś mam oddać Owa dama powiedziała, że po południu sama się po nią zgłosi.

— Czy podała swoje nazwisko?

— Tak, podyktowała je. Nelly Brown.

— Dziękuję uprzejmie. Po południu się zgłoszę.

Jakoż o trzeciej był już Jocellyn u jubilera i czekał w lokalu, przytykającym do sklepu. Wkrótce zjawiła się panna Brown po odbiór opali. Jubiler dał umówiony znak Jocellynowi. Nelly Brown, wziąwszy kosztowności, wsiadła do powozu i odjechała. Jocellyn wskoczył do dorożki i kazał pędzić za powozem. Jakże się zdziwił, gdy zobaczył, że powóz zatrzymał się przed pensionatem pani Rogers i dama z opalami weszła tam, odprawiwszy powóz.

Pojechał nieco dalej, potem wysiadł z dorożki i pospieszył do pensionatu.

Zadzwonił i znowu owa strojna pani, sama właścicielka pensionatu drzwi mu otworzyła.

— Stosownie do pozwolenia pani przychodzę ponownie dowiedzieć się o mieszkanie.

— Niema miejsca—rzekła nieco opryskliwiwie—proszę szukać gdzieindziej — i zamknęła drzwi prędko.

Jocellyn zatrzymał się przez chwilę i uśmiechnął sam do siebie: „Hm! hm! — myślał sobie — niby ty mądra, a przecież ciężko głupia. Skoro ty damulko tak opryskliwie zbywasz tych, co szukają pomieszkania, to twój pensionat jest tylko pozorem, firmą, pod którą ukrywa się co innego. Stuart miał dobry nos. Ha! zdradziłaś się mościa pani. Już cię z oka nie spuszczę“.

W sześć tygodni potem napisał do przyjaciela list następujący:

„Kto nie wie, co to znaczy tropić urwipołciów tak, aby ich na gorącem schwytać i dowody mieć o nich niezbite, ten mógłby sądzić, że my czas na darmo tracimy. Trzeba mieć cierpliwość taką, jak ów Bradmardine, co kołkiem siedzi we Fairlic i czyha na przyjazd Leonory, a tymczasem podchodzi dr. Austina, aby coś z niego wyciągnąć. Do tej chwili nie udało mi się jeszcze wcisnąć do pensionu pani Rogers, ale wiem już pewnie, że tam jest jakieś gniazdo. Na ślepo nie pójdę, aby nie spłoszyć ptaszków przed czasem. Dama z opalami przebywa u pani Rogers i konferuje często z Fergusem.

„Zawarłem z nim poufałe stosunki. On dobrze podkuty, ostrożny, oględny, tembardziej mi podejrzany. Poznałem też pannę Scaton. Dowiedziałem się, że panna Durand była przez dwa miesiące w podróży. To szczegół dość ciekawy dla ciebie, który zajmujesz się tą rodziną i może ci to posłużyć do jakichś kombinacyj. Nawiasem dodaję, że Kate Scaton to bardzo miła, sympatyczna osóbka“.

Ten list otrzymał Stuart z końcem stycznia. Już trzy miesiące upłynęły od zabójstwa Arteveldta, a jeszcze nie odkryto najmniejszego śladu zbrodniarza. Gnębiło to Stuarta, niepokoiło, ale nie odbierało energii i wiary, że dzieła dokona.

Pewnego dnia, gdy siedział zamyślony nad jakąś lekarską książką, wrócił dr. Austin bardzo zmęczony.

— A to dzień! Trzynastu pacyentów! Mój drogi przyjacielu, podaj mi z łaski swej listy ze skrzynki pocztowej. Przepatrzę je i położę się odpocząć.

Stuart wyjmując listy, rzucił okiem na różne pisma adresów.

Na jednym liście zobaczył pismo Leonory Arnym. Nie mylił się, tak, wszakże Kate Scaton pokazywała mu pismo swej przyjaciółki. Podał listy doktorowi, potem pożegnał go mówiąc, że się przejdzie na spacer.

— Dobrze, dobrze, idź mój imienniku kochany, użyj świeżego powietrza, a ja się tymczasem prześpię.

Doktor czytał listy jeden po drugim, potem położył je na biurku, a sam odszedł do sypialni i zmęczony zasnął twardo.

Stuart wszedł po cichu do kancelaryi, chwycił listy i przeczytawszy ów od Leonory, położył go na swojem miejscu.

W godzinę potem obudził się dr. Austin i wyszedł do ogrodu. Tu go spotkał Stuart i zatrzymał:

— Przepraszam, że pana zatrzymuję. Mam prośbę.

— No cóż takiego? — zapytał doktor z tkliwością, bo lubił bardzo młodzieniaszka.

— Oto proszę pana, jutro przyjedzie do Chicago mój dawny kolega i przyjaciel serdeczny. Prosi mnie, abym się z nim zjechał, więc radbym pojechać.

— A słusznie, słusznie, mój kochany. Tylko bądź ostrożny, bo Chicago to dyablo zepsute miasto. Żebyś nie popadł w złe towarzystwo, albo nie trafił w jaką szulernię.

— Ej, ja bardzo jestem ostrożny, a mój przyjaciel również. Ale ja chciałbym panu jeszcze coś powiedzieć.

— Mów, mów śmiało. Niech ci się zdaje, że jestem naprawdę twoim stryjem.

— Chciałem pana ostrzedz przed panem Brody, czy Bradmardine. Dziwny człowiek! Czepił się mnie i wciąż namawia, abym czytywał listy do pana aresowane i o ich treści mu donosił. To znowu zadaje mi jakieś zagadkowe pytania.

— Jakież to pytania?

— Dowiaduje się wciąż o jakąś pannę, która tu była i ma wrócić. Obiecał mi nawet sto dolarów, jeżeli mu się będę o wszystko dowiadywał. To nie pięknie z jego strony. Co on sobie o mnie myśli? To pewnie jaki szpieg ten pan Bradmardine, albo jaki ajent policyjny. Chciałem pana ostrzedz przed moim wyjazdem, aby ten podejrzany człowiek nie wyrządził panu jakiej przykrości.

— Dziękuję ci, kochany chłopcze, bardzo dziękuję. Skorzystam z twej przestrogi. Istotnie, że natręctwo tego pana i mnie było podejrzane. Nie dowie on się niczego odemnie.

Stuart pożegnał się z doktorem, zbierał się w drogę i powtarzał sobie: „a to dziwne! dziwne! Leonora Arnym w domu obłąkanych!“

## XIV.

### I znowu zniknęła!

Na odległem przedmieściu w Chicago, pośród cienistego ogrodu, widać okazały budynek. Jest to prywatny zakład dla obłąkanych dra Burtona. W obszernym, starannie urządzonym pokoju na drugiem piętrze, siedzi w oknie piękna, młoda kobieta. Twarz ma bladą, zmęczoną; wyraz tęsknoty na niej się rozsiadł; usta cierpieniem moralnem skrzywione, oczy na pół łzawe.

Smutne myśli ją ogarniają: „Po co żyję? zadawała sobie pytanie. Dziecięce lata moje osłania tajemnica; potem patrzałam na złamane życie matki, zbolałej wciąż znękanej; potem to, co się stało! Teraz chronić się przed ludźmi, ukrywać i udawać obłąkaną, aby uniknąć pościgu. Więźniem jestem, niewolnicą ciężkiego losu. Więzień ma w tem pociechę, że kiedyś otworzą mu bramę więzienną i odzyska wolność. A ja? Ja nigdy nie będę swobodną, nigdy szczęśliwą!

Jak szczęśliwi ci tam, co tak ciężko w ogrodzie pracują! Co to? Do bramy zdąża ktoś nie znany. Boże! to on!

Raz go tylko widziałam, ale nie zapomnę nigdy, to agent policyi! Już mnie odkryli, pochwycą, zabiją, myśląc, żem go zamordowała!

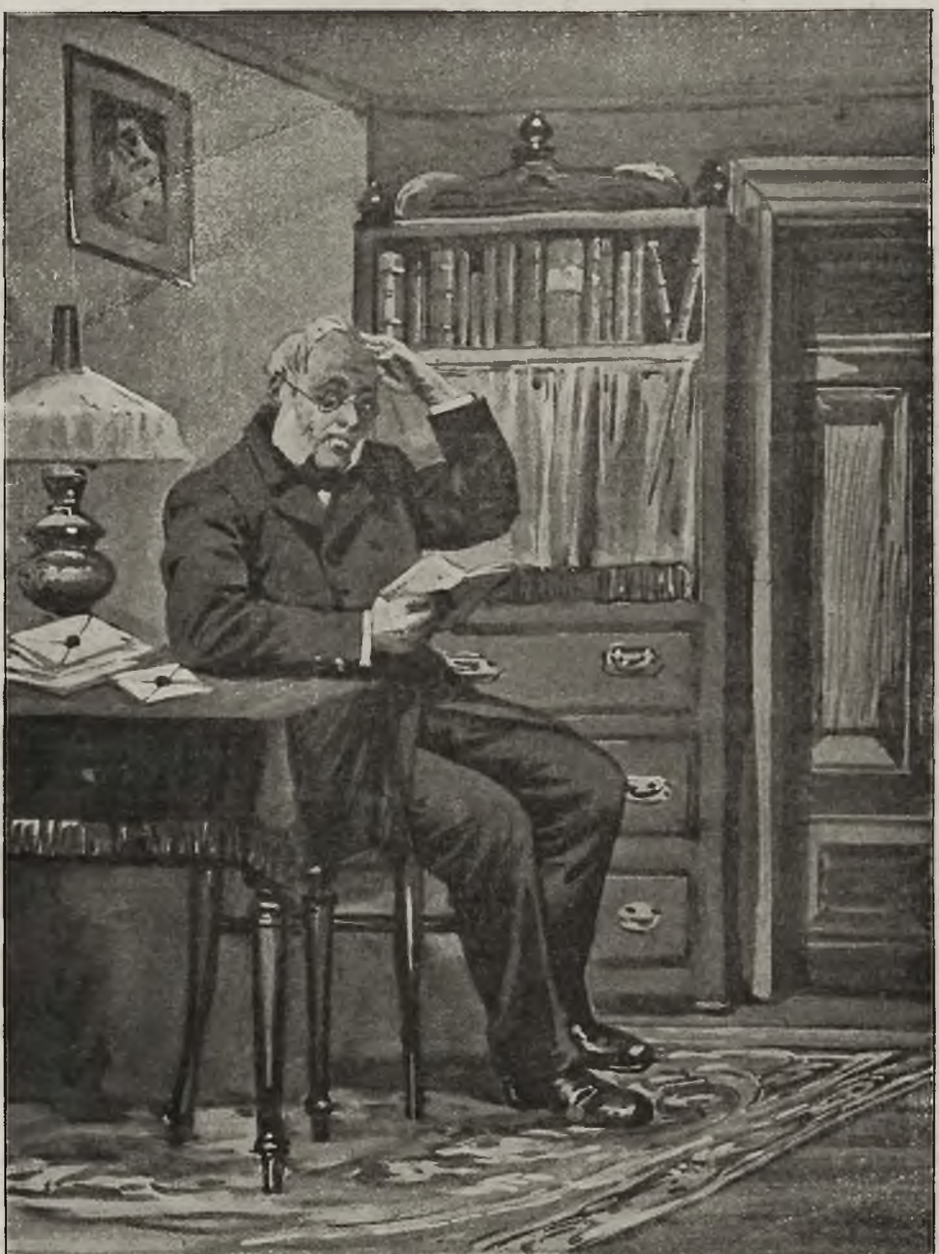
Zerwała się, odbiegła od okna, a tymczasem do bramy zadzwonił Stuart i gdy mu otworzono, kazał się zaprowadzić do dra Burtona.

— Jan Jakób Austin — przedstawił się Stuart.

— Czem mogę służyć? — zapytał dr. Burton, człowiek bardzo miły, uprzejmy.

— Przychodzę z polecenia dra Austina.

— Czy to krewny pana?



Doktór czytał listy jeden po drugim.

— Bardzo daleki, ale ja mieszkam u niego, zaprawiając się co nieco do medycyny.

— Niechże się pan rozgości. Proszę bardzo. Dr. Austin jest moim serdecznym przyjacielem, więc miło mi poznać jego kuzyna. Jakież to pan ma zlecenie do mnie?

— Prosił mnie, abym odwiedził jego pupilkę, którą tu niedawno u pana umieścił.

— A! pannę Lynn! Zapewne o niej pan mówi?

Stuart zbił się nieco z tropu, bo nie wiedział, że pod tem nazwiskiem Leonora tu przebywa. Nie odpowiadając na pytanie, czekał, jakby milczeniem chciał pytanie potwierdzić.

— Jakże się miewa?

— Wybornie. Jej choroba była właściwie tylko silnem rozdrażnieniem nerwów.

— Ja jej nie znam wprawdzie, ale dr. Austin życzył sobie, abym ją zobaczył i zdał mu sprawę, jak wygląda, jakie sprawia wrażenie. Jeżeli pan zechce na to zezwolić, to proszę mnie tej pani przedstawić.

— Bardzo chętnie i owszem; to jej nawet sprawi przyjemność, gdy pozna kuzyna swego opiekuna. Ona jest zupełnie przytomna, jak my obaj. Cała sprawa ogranicza się do tego, iż sobie uroiła, ze ją chcą uwięzić i zamordować.

— Dr. Austin polecił mi zapytać się jeszcze, czy nie byłoby korzystnem zmienić jej miejsce pobytu?

— Hm! to możliwe, ale musiałaby mieć spokój ciszę i nie stykać się z ludźmi, bo cierpi na antropofobę. Dopiero zwolna, gdy się już całkowicie uspokoi, będzie można otoczyć ją dobranem towarzystwem. Zaraz pan zobaczy pupilkę swego kuzyna.

Dr. Burton zadzwonił i rozkazał wchodzącej dozorczyni, aby poprosiła na chwilę pannę Lynn.

Dozorczyni poszła spełnić zlecenie. Zapukała do drzwi pacyentki.

— Czy to Joanna? — odezwał się głos z wewnątrz.

— Tak panienko, to ja. Czy mogę wejść.

Drzwi się otworzyły. Leonora Arnym stanęła w progu.

— Czego sobie Joanna życzy?

— Pan doktor prosi na chwilkę do siebie, bo tam czeka jakiś młody pan.

— Tak? Zaraz przyjdę, ale wpierw muszę się umyć i przebrać. Pisząc list oblałam się atramentem. Proszę mi przynieść gorącej wody i zostawić ją za drzwiami; tymczasem będę się przebierała.

Służąca się oddaliła, a Leonora włożyła prędko kapelusz na głowę, zarzuciła płaszcz na siebie i cicho, ostrożnie przesunęła się przez korytarz i boczne schody ku ogrodowi. Przebiegła go prędko i znikła na ulicy.

Tymczasem rozmawiali obaj panowie o tem i o owem, ale gdy pół godziny upłynęło, a pacyentka nie przychodziła, zaczął niecierpliwić się dr. Burton i posłał dziewczynę ponownie po nią.

Dozorczyni wróciła bardzo zakłopotana.

— Niema panny Lynn.

— Dokądże wyszła? — spytał dr. Burton, cokolwiek zaniepokojony.

— Nie wiem. Gdy jej powiedziałam, że pan doktor na nią czeka, kazała mi przynieść gorącej wody do mycia i postawić ją za drzwiami pokoju. Mówiła, że się musi przebrać i umyć ręce z atramentu. Wodę postawiłam, jak kazała i poszłam do innych chorych. Gdy teraz zajrzałam do pokoju, panny Lynn już nie było, a woda została przed drzwiami nietknięta.

— Co to jest? — zawołał dr. Burton. — Niezawodnie dostała napadu gwałtownego rozdrażnienia.

— Czy panna Lynn wiedziała, że tu ktoś czeka na nią? — zapytał Stuart dozorczyni.

— Ja jej powiedziałam, że jest jakiś młody pan.

— A na co? kto kazał o tem mówić? — rzekł Stuart opryskliwie.

— Niech Joanna poszuka panny Lynn w korytarzach i w ogrodzie — rozkazał doktor Burton.

— Proszę pana, panie doktorze, zaprowadzić mnie natychmiast do pokoju zbiegłej pacyentki, a jeżeli pan się domyśla, gdzie się ukryła, proszę ją natychmiast sprowadzić — rzekł Stuart tonem stanowczym i energicznym.

Dr. Burton zdumiał się i obraził, to też poważnie i z wielką godnością odpowiedział:

— Pozwoli pan sobie powiedzieć, że to zuchwalstwo prawdziwe, rozkazywać w moim zakładzie. Pacyentami ja się opiekuję, ja tu rozporządzam, a jeżeli pacyentka widzieć kogoś nie chce, ja jej zmuszać do tego nie będę.

— Bardzo ubolewam, że panu to nie miłe, ale mimo tego ponawiam stanowczo moją prośbę.

— A ja powtarzam, iż jej nie spełnię.

— W takim razie muszę tego żądać i wezwać pana, abyś me żądanie spełnił.

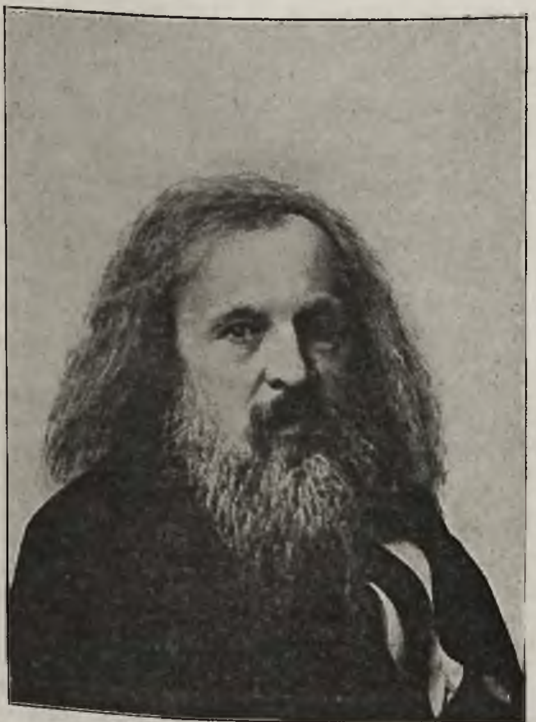
— Kto pan jesteś, że ośmielasz się w ten sposób przemawiać?

— Jestem ajentem policyi i przybywam tu, aby spełnić obowiązki urzędowe. Proszę mi nie przeszkadzać w urzędowaniu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Zgon wielkiego chemika.

Nauka poniosła w tych dniach wielką stratę. Ubył bowiem jeden z tych uczonych, których dzieła stanowią historyczną epokę w rozwoju myśli ludzkiej. Mówimy o śmierci sędziwego Dymitra Mendelejewa w Petersburgu. Jakkolwiek nie tak światu znany, jak np. Darwin, należał on wszakże do olbrzymów wiedzy ludzkiej. Nazwisko tego znakomitego Rosyanina było dotąd dlatego tylko obce szerszemu ogółowi, ponieważ pracę swą ześrodkował on głównie w dziedzinie chemii, tak niedostępnej dla publiczności przeciętnej. Epokową w chemii pozostanie na zawsze nowoczesna klasyfikacya pierwiastków chemicznych, wprowadzona przez Mendelejewa, a przyjęta przez cały dzisiejszy świat naukowy. On to właśnie zwalił przestarzały podział na metale i metaloidy, który opierał się na właściwościach zewnętrznych, a wprowadził nowy podział na grupy według ciężarów atomowych, od których zależą własności pierwiastków. Na tym układzie, tak naturalnym, że pozwala przewidywać istnienie i własności pierwiastków nieznanych, oparł się olbrzymi rozwój dzisiejszej chemii. Klasycznemi dziełami są: „Zasady chemii" Mendelejewa, uzupełnione w siódmem i ósmem wydaniu w r. 1900, oraz dawniej drukiem ogłoszona „Chemia organiczna". — Wydana również w 1900 roku „Próba chemicznego pojmowania eteru wszechświatowego" rzuca sporo światła na niedość jeszcze zbadaną istotę i znaczenie wszechświatowego eteru. Wszystkie prace jego z dziedziny chemii fizykalnej cechuje ogromna ścisłość i gruntowność opracowania. Poza chemią zajmował się też innemi badaniami naukowemi. Przed np. 20 laty z narażeniem życia przeprowadzał w balonie obserwacye nad zaćmieniem słońca, później badał duński przemysł węglowy; to znów z polecenia ministeryum pracował nad wytworzeniem najlepszego gatunku prochu bezdymnego i w istocie wynalazł proch t. zw. pyrokolloidyjny. Nawet z zakresu spirytyzmu wydał specyalne prace, będące owocem poważnych studyów.



Fot. A. Drankow, Petersburg.
**Zgon wielkiego chemika:** Dymitr Mendelejew.



**Głód w Rosyi:** Mieszkańcy tatarskiej wioski skazani na śmierć głodową.



**Głód w Rosyi:** Rodzina włościańska, skazana na śmierć głodową.



**Głód w Rosyi:** Wnętrze szpitala przeznaczonego dla umierających z głodu.

Dymitr Mendelejew, urodzony 7 lutego 1832 roku w Tobolsku odbywał studya przyrodnicze w instytucie pedagogicznym w Moskwie. Habilitował się w r. 1856 na uniwersytecie petersburskim, którego profesorem, po uzupełnieniu studyów za granicą, został w r. 1866 i od tego czasu zaczął ogłaszać swoje dzieła naukowe, uważane powszechnie za przełomowe w dziedzinie chemii fizykalnej.

Od r. 1893 prowadził Mendelejew przy ministerstwie finansów w Petersburgu wydział miar i wag i wprowadził szereg udoskonalonych metod badania.

Przed kilku laty z okazyi 70 rocznicy jego urodzin cały świat naukowy w Europie wziął udział w złożeniu hołdu zasługom jego na polu wiedzy.

* * *

Przyczyną śmierci znakomitego starca, którego portret dziś zamieszczamy, było zapalenie płuc z powodu zaziębienia.



**Głód w Rosyi:** Widok chałupy, z której zdjęto część dachu, aby mieć opał.



**Głód w Rosyi:** Konie wygłodzone szukające sobie pożywienia pod śniegiem.

# Kronika tygodniowa.

A więc przy uzupełniających wyborach w Niemczech zdobyliśmy sobie jeszcze jeden mandat na Górnym Śląsku — mamy ich razem 20, to jest więcej niż kiedykolwiek ich posiadaliśmy. A wszystko dzięki temu ludowi, który przed 50, a nawet przed 30 laty mieliśmy za całkiem stracony, a o którym przed 100 laty nie wiedzieliśmy prawie, że istnieje. Sprawdzają się słowa wieszcza:

Naród nasz jak lawa
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi.

Nie sto lat jednak, wielki wieszczu! — ale i 600 lat nie wyziębiło wewnętrznego ognia na Górnym Śląsku. Tem lepiej, tem zaszczytniej — tem większy nasz obowiązek „zstępować do głębi...“

Ale rzadko dobrych wieści nie zamąci przykra wieść. Na Mazurach pruskich spotkał nas zawód zupełny. W roku 1898. kandydat polski otrzymał wśród ludu mazurskiego 5 700 głosów, obecnie na kandydata polskiej partyi mazurskiej, Gotlieba Labuscha padło głosów zaledwie 200. Przerażające cyfry! Skąd taka zmiana, jaka jej przyczyna? Bardzo prosta: ludowi temu przed wiekami narzucono religię ewangelicką. Przyjął ją i pozostał jej wierny. Uświadomienia narodowego nie posiadał, a zostawał pod wpływem pastorów, którzy go uczyli wierności dla „króla“. W ostatnich latach z wyższego rozkazu, ci „słudzy Boga“ podwoili swoją gorliwość. Więc też portrety „króla“ zdobią każdą chatę na Mazurach, a nienfność do katolików powiększa rozdział tej garści ludu polskiego z narodem. Nawet na Śląsku austryackim, mimo, że znajduje się w lepszych warunkach, widzimy, jak różnica religii szkodliwą jest ze stanowiska narodowego: katolicy i ewangelicy stanowią na nim dwie wrogie partye, walczące ze sobą na pożytek Niemców i Czechów. Cóż dopiero mówić o biednych zacofanych Mazurach, względem których Wielkopolska jak sama się przyznaje, zachowała obojętność. Rząd pruski tymczasem nie śpi, wydaje swym kosztem „Przyjaciela Ludu“ z tendencyą antipolską. W przeddzień wyborów zamknięto narodowego „Mazura“, wychodzącego w Szczytnie, a to z powodu, że lokal drukarni... był wilgotny. Zdawałoby się, że to bezprawie otworzy oczy — tymczasem pomogło ono jedynie rządowi. „Przyjaciel Ludu“ rozrzucił w tysiącach egzemplarzy odezwę, w której wołał: „Mazur“ jest przeciwny królowi pruskiemu i dlatego kazał go zamknąć“. To odebrało Labuschowi, popieranemu przez „Mazura“ trzy czwarte jego zwolenników.

Również niepomyślne wieści dochodzą z powiatów kaszubskich. Wprawdzie niektórzy nasi uczeni, jak p. Ramułt, poświęcili dużo trudu, aby dowieść „pour le roi de Prusse“, że lud kaszubski nie jest polskim, ale on sam zawsze za polski się uważał. Niestety, postępy germanizacyi na Kaszubach są wielkie. Komisya kolonizacyjna wykupiła prawie wszystkie większe polskie majątki. Tak np. w powiecie kościerzyńskim niemiecka większa własność wynosi dziś 40 000 hektarów, kiedy polska zaledwie 5 000. W samym Kościerzynie, będącym jedynem już polskiem miastem na Kaszubach, spółka niemiecka wykupuje polskie domy, a rząd ze swej strony udziela na 4% (w co już wliczona jest amortyzacya) pożyczek urzędnikom na budowę własnych domów. W ostatnich czasach Hakata nabyła dom, w którym znajdowała się jedyna w mieście sala na zebrania.

Konsekwentnie prowadzona germanizacya czyni znaczne postępy — więc też rząd pruski „urbi et orbi“ ogłasza, że jego polityka w prowincyach wschodnich cieszy się powodzeniem. Liczby przytoczone w jego komunikacie, stwierdzają niestety, że to nie pusta przechwałka.

To powodzenie i pomyślny dla rządu ogólny rezultat ostatnich wyborów do parlamentu, upajają tak zwycięzców, że zaczynają tracić przytomność i bredzić. „Kto mi się sprzeciwia, tego zdruzgocę“ (den zerschmettere ich) — wyrzekł niegdyś Wilhelm II, a obecnie oświadczył, że „stratuje na śmierć kopytami wszystkich, co mu staną na drodze“. Jedni sądzą, że to się odnosi do socyalistów, centrum i Polaków — inni jednak wyczytują w tych słowach rękawicę rzuconą całej Europie. Tak czy owak jestto pyszałkowatość, jakiej w dzisiejszych czasach niema drugiego przykładu. A rezultaty jej mogą być bardzo niepożądane, bo ostrzegają wszystkich przed niebezpieczeństwem wzrastającego olbrzymio apetytu rozzuchwalonej Germanii. To też nie małe znaczenie przypisują sfery dyplomatyczne do pobytu w Paryżu króla Anglii i cesarza Indyj. Ten największy dyplomata między monarchami (za takiego przynajmniej uchodzi), nie szuka popisów na polu oratorstwa, ale robi swoje. Nie należy lekceważyć faktu, że z jego pobytem w stolicy Francyi zbiegło się głośne zamanifestowanie przez rząd francuski serdecznych stosunków z Rosyą. Zapewne, że doznajemy niemiłego uczucia, czytając entuzyastyczne oświadczenia ministra Pichona, ale musimy w nich widzieć niejako odpowiedź na wolnomyślne słowa rzucone w Berlinie.

„Niemców potrzeba tylko wsadzić na siodło, a potem pojadą już sami“ — dalsze słowa ewangelii berlińskiej. Ale widziano już najlepszych jeźdźców, którzy nietylko z siodłem, ale i ruma kiem się rozstali — chcieli tratować i tratowali, póki ich samych nie stratowano. Właśnie w roku zeszłym była rocznica bitwy pod Jeną, w której największy geniusz wojenny i największy mocarz w dziejach nowożytnych pokonał i stratował na śmierć małego królika pruskiego, a w kilka lat później jego samego stratowano pod Waterloo. Największa potęga wojenna, jaką świat widział od czasów rzymskich, rozpadła się, a z małych królików pruskich, hołdowników niegdyś Rzeczypospolitej polskiej, powstali potężni cesarze niemieccy Fortuna kołem się toczy, a prawie zawsze upoka rza wyuzdaną pychę. Widzieli ojcowie nasi i takiego mocarza, który według poety wołał:

Zgniotę, zniszczę zuchwalców i za jedną razą
Ujmę świat. Drżyj Londynie, drżyj podły Paryżu!
Naród cały mym nogom zwycięskim podścielę,
Rzucą się wszystkie ludy pod cesarskie stopy,
A ja z tronu mojego, jak Pan Bóg w kościele,
Mieczem prawa przepiszę ludom Europy.

Tak wołał — i nie zadrżał Londyn, nie zadrżał Paryż, nie rzuciły się ludy pod cesarskie stopy, ale wprost przeciwnie jemu prawa mieczem przepisały.. A czy my na własne oczy nie widzieliśmy klęski kolosu, który zdawał się być niezwyciężony?

Ale cesarz Wilhelm nie jest już sam, Niemcy nie są tak osamotnione, jak się zdaje niektórym politykom i dziennikarzom. I jemu i jego państwu przybył potężny sprzymierzeniec... w Związku narodu rosyjskiego. Osławione to stronnictwo wysłało do cesarza Wilhelma telegram gratulujący z powodu wyborów. „W osobie waszej cesarskiej mości - tak kończy się wylew uczucia Związku — składamy narodowi niemieckiemu życzenia wszelkich pomyślności i szczerości na nowo otwierającej się drodze życia, wierząc święcie, że Niemcy i Rosyanie potrafią pomodz swoim monarchom przy rozstrzyganiu wszelkich nieporozumień historycznych. Pozdrowienie i chwała cesarzowi Wilhelmowi, pozdrowienie narodowi, umiejącemu popierać swego monarchę, chwała młodzieży, która dowiodła, że jej miłość ojczyzny nie jest mniejsza, niż miłość nauki!..“

Z pomocą „Związku ludzi rosyjskich“ śmiało już może cesarz Wilhelm przystąpić do wykonania swego programu, to jest do stratowania wszystkich swych wrogów. Taki sprzymierzeniec, to już połowa wygranej, boć Związek to „kwiat słowiańszczyzny“, a kto ma za sobą Germanów i Słowian, jakaż siła takiemu oprzeć się zdoła? Prawda, że to sprzymierzeniec wielce kompromitujący, że niejeden pomyślałby sobie: „chroń mię Boże od takich przyjaciół, a z nieprzyjaciółmi już sam sobie dam radę“ — ale jak kto innych przyjaciół nie ma na świecie, dobry i taki. Na bezrybiu i rak ryba, a Związek to rzeczywiście rak, wstecznik „pierwszej wody“. A drugie przysłowie głosi: „dobra psu i mucha“.

Wątpić jednak należy, czy młodzież niemiecka ucieszy się z pochwały, udzielonej jej przez „istinno-russkich“, choć, co prawda, na tę pochwałę z ich strony zupełnie zasłużyła. Ale co dziwne, to usprawiedliwienie tej młodzieży, wychodzące z pod pióra jednego z naczelników socyalizmu niemieckiego. Poseł Bernstein, zastanawiając się w „Socialistische Monatshefte“ nad przyczynami klęski socyalistów niemieckich, pisze między innemi, co następuje: „Do niedawna młodzież wszystkich stanów garnęła się do szeregów naszych. Ale na kongresach naszych występowano z ogromną nietolerancyą wobec wszystkich zdań odmiennych. Następnie w prasie socyalistycznej prowadzono polemiki, pełne podejrzeń i oszczerstw wzajemnych, nieróżniące się niczem od polemik prasy burżuazyjnej, którą się z tego powodu zwalczało. Obniżało to wszystko powagę partyi i zrażało nietylko młodzież, ale i starszych. Lecz dobrze się stało, że ponieśliśmy klęskę, bo to nas zmusi do wystrzegania się dotychczasowych błędów...“

Czy Bernstein odgadł prawdziwą przyczynę klęski socyalistów, to nam sprawdzić trudno — ale, że błąd przez niego wytknięty nie pomaga socyalizmowi, o tem i nasze stosunki wyraźnie świadczą. Niema ani jednego stronnictwa, choć najbardziej sympatyzującego ze socyalizmem, któregoby nie odtrącano z szyderstwem, któregoby ludzi nie traktowano jako wrogów ludu i wolności, lub jako błaznów i karyerowiczów. A polemiki między sobą doprowadziły niedawno do procesu, który z pewnością nie przyczynił się do wzrostu partyi. W Warszawie widzimy to samo — na zgromadzeniach demokratów postępowych, którzy byli prawie pachołkami socyalistów, wypowiedziano otwarcie że socyaliści mają dla tego stronnictwa tylko pogardę. Co prawda, w naszych warunkach na taką otwartość mogą sobie socyaliści pozwolić, bo ich sympatycy, zwłaszcza galicyjscy, liczą zawsze, że bądź co bądź przy wyborach głosy socyalistyczne padną na ich kandydatów. Więc też ścierają ślinę ze swego oblicza, mówią, że „deszcz pada“ i wyciągają wciąż odpychane dłonie..

Jak widzą Czytelnicy, cała dzisiejsza kronika poświęcona jest polityce. Bo rzeczywiście ostatnie tygodnie nie dostarczyły innego, prócz politycznego, materyału. Wprawdzie dzienniki przepełnione są opisami balów, ale kronikarz wobec tego „objawu życia“ czuje całą nieudolność swego pióra; w tej sferze jest najzupełniejszym ignorantem. Podziwia tylko, że przy ogólnej „strasznej biedzie“, wobec upadku wielu najdroższych nadziei, wobec smutnego stanu w dwu naszych dzielnicach, a niebardzo wesołej perspektywy i na galicyjskim padole płaczu, karnawał tegoroczny był tak huczny, jak nigdy za „najlepszych“ czasów. Nie było prawie tak drzemiącej instytucyi, tak drzemiącej sfery, któraby się nie zdobyła na czyn... taneczny. Niektóre instytucye straciły całkiem swój chara kter i zamieniły się w wielkie przedsiębiorstwo taneczne. Czasem zdawało się, że jakiejś instytucyi lub sfery już niema na świecie, że jej głowę odcięto, a tymczasem okazało się, że ma ona nogi i to nogi wytrzymałe, niepokonane, zdolne do największych poświęceń.. Ha! i za to należy dziękować Opatrzności, bo jeżeli jedna część ciała okazała taką sprawność, biegłość, taką zdolność do czynu, to spodziewać się należy, że przyjdzie z czasem kolej i na tę resztę cielesnej powłoki, która, między innemi, mieści w sobie i głowę i serce.



## Nowy kanonik katedralny.

W sobotę odbyła się w katedrze królewskiej na Wawelu installacya nowego kanonika katedralnego, ks. dra Jana Mazanka, szambelana papieskiego.



Fot. W. Lis, Kraków.

Nowy kanonik katedralny: ks. dr. Jan Mazanek.

Wobec kapituły i kleru katedralnego dopełnił ksiądz infułat Gawroński, dziekan kapituły krakowskiej, stosownej ceremonii w asystencyi księży kanoników Wądolnego i Krupińskiego. W czasie „Te Deum“, na zakończenie niezwykłej uroczystości na Wawelu, odezwał się dzwon „Zygmunt“. Nazajutrz ks. prałat Mazanek odprawił w katedrze pierwszą sumę.

Nowy członek krakowskiej kapituły katedralnej (którego portret załączamy) pochodzi z Głogowa, gdzie na świat przyszedł w r. 1858. Po ukończeniu gimnazyum rzeszowskiego, odbył studya teologiczne w seminaryum dyecezyalnem w Przemyślu i tam 1882 otrzymał święcenia kapłańskie. Ksiądz Mazanek, jako kapłan obdarzony wybitnemi zdolnościami, zwrócił rychło uwagę ówczesnego wicerektora seminaryum duchownego w Przemyślu, a dzisiejszego księcia-biskupa krakowskiego, ks. kardynała Puzyny, który też wysłał go na wyższe studya do Rzymu. Tu na uniwersytecie Gregoryańskim uzyskał ks. Mazanek stopień doktora filiozofi i teologii. Powróciwszy do kraju, został zamianowany profesorem teologii w seminaryum duchownem w Przemyślu, który to urząd sprawował do ostatnich dni, będąc jednocześnie rektorem małego seminaryum, radcą i referentem konsystorza biskupiego. Przez długoletnią swą działalność w dyecezyi przemyskiej w różnych kierunkach, zyskał sobie ks. prof. Mazanek ogólną sympatyę i szacunek tak u duchowieństwa, jakoteż w szerszych kołach tamtejszego społeczeństwa. Na wiosnę r. 1903 prowadził ks. Mazanek pielgrzymkę polską do Rzymu celem złożenia hołdu obecnemu papieżowi; powiodła się ona ku ogólnemu zadowoleniu wszystkich uczestników.

## Echa głośnej sprawy.

Wysoce zajmujący artykuł p. W. Władimirowa, który pojawił się w dzienniku petersburskim „Nowoje Wremja“, wznowił i na łamach prasy polskiej głośną swego czasu sprawę uprowadzenia dziesięciu więźniów politycznych ze słynnego więzienia na Pawiaku w Warszawie. Z wielkiem zajęciem omawia dziś publiczność warszawska ujawnione w pracy p. Władimirowa szczegóły owego niesłychanego zdarzenia, które tyle wzbudziło sensacyi i w istne zdumienie wprawiło nietylko czytelników gazet, ale przedewszystkiem władze miejscowe, a w szczególności koła policyjne. Ze względu na ponowną aktualność rozgłośnej sprawy, rozpoczynamy w dzisiejszym numerze druk polskiego przekładu tak niezwykle ciekawej pracy p. Władimirowa pt.: „Uprowadzenie więźniów z Pawiaku“, chcąc tym sposobem zaznajomić z jej treścią także szerokie koła naszych Czytelników.

Nadto, korzystając ze sposobności, zamieszczamy jednocześnie kilka, odnoszących się do opowiadania p. Władimirowa, sensacyjnych rycin. Mianowicie reprodukujemy otrzymaną poufnie z Warszawy fotografię, przedstawiającą grupę śmiałych uczestników wtargnięcia do Pawiaku, którym udało się wykraść więźniów. Rewolucyoniści owi fotografowali się po udałej wyprawie — zapewne na pamiątkę — a rzecz łatwo zrozumiała, iż nie mogli stanąć do zdjęcia inaczej, jak w maskach.

Zamieszczamy również fotograficzną podobiznę owego dokumentu sfałszowanego, który miał wszelkie pozory urzędowego aktu sekretnego, skoro na podstawie tegoż właśnie papieru przestępców żądanych wydano z więzienia.

Nakoniec podajemy widok Pawiaku z główną bramą, oraz karetkę więzienną, używaną do przewożenia pilnie strzeżonych przestępców.

* * *

Dokument rosyjski, którego fotografię widzą Czytelnicy, w dosłownem tłómaczeniu na język polski, opiewa jak następuje:



Echa głośnej sprawy: Przed główną bramą więzienną na Pawiaku w Warszawie.

M. W. D.

Warszawski Oberpolicmajster.
W sprawach sekretnych.

10 kwietnia 1906 r.

N. 3805

m. Warszawa.

b. sekretne

Do Naczelnika warszawskiego więzienia śledczego.

Stosownie do rozporządzenia czasowego generał-gubernatora miasta Warszawy i gubernii Warszawskiej, proszę J. Wielmożnego Pana o wydanie rotmistrzowi oddzielnego korpusu żandarmów von Budberg następujących więźniów politycznych, którzy są zatrzymani w więzieniu mu powierzonem, a mianowicie:

Ochockiego Błażeja, Otockiego Antoniego, Oli, ckiego Stefana, Kołakowskiego Władysława, Porgantiego Władysława, Rączewskiego Tomasza



Echa głośnej sprawy: Widok słynnego więzienia na Pawiaku.

Czarneckiego Błażeja, Kilaczyckiego Jerzego, Boleka Michała, Michalskiego Zygmunta —

aby ich odstawić do X-go pawilonu cytadeli warszawskiej.

Pełniący obowiązek oberpolicmajstra

pułkownik

*Meyer*

Za zarządzającego kancelaryą

*M. Jezierow*

## Wybitny adwokat.

Z żalem dowiedziano się w Warszawie o zgoła niespodziewanej śmierci ogólnie szanowanego i szeroko znanego adwokata przysięgłego Gustawa Lewiego. Zmarł on nagle wskutek ataku sercowego i to nie w mieszkaniu własnem, lecz u pewnej „takiej“ kobiety przy ul. Wspólnej, skąd następnie przeniesiono zwłoki do mieszkania syna nieboszczyka.

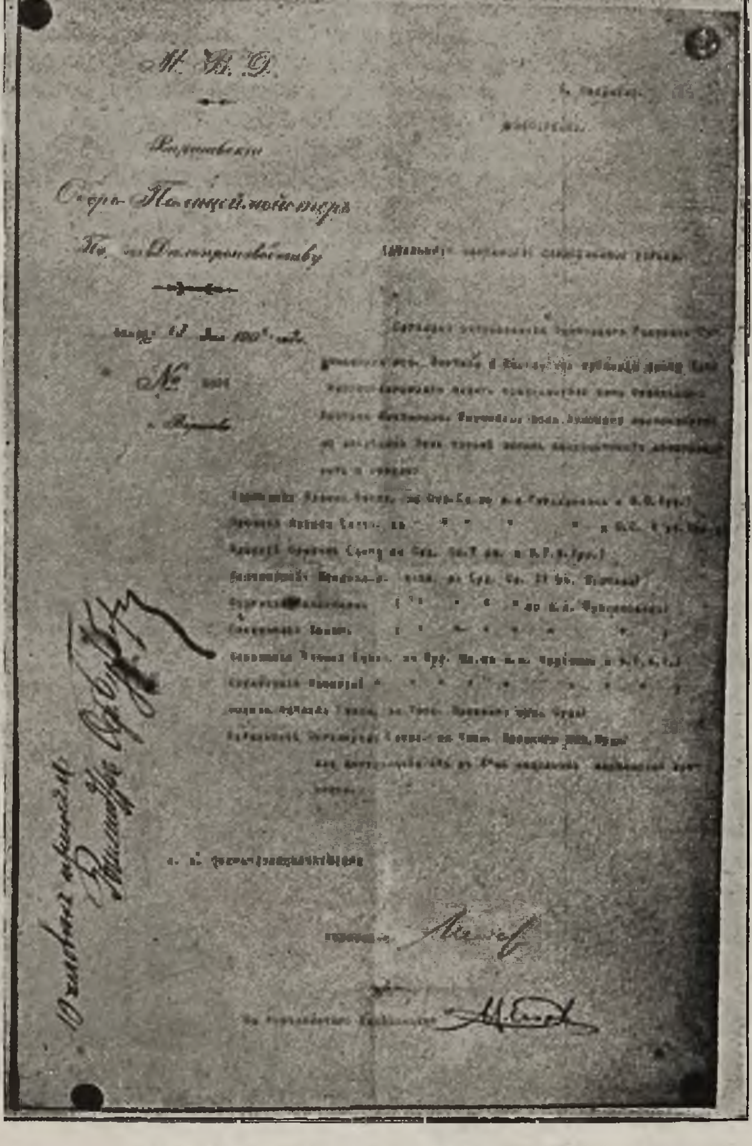


Echa głośnej sprawy: Karetka więzienna przewożąca przestępców politycznych w Warszawie.

Wreszcie na boku dopisano:

10 ludzi odebrałem

Rotmistrz *O. von Budberg.*



Echa głośnej sprawy: Fotografia sfałszowanego dokumentu urzędowego.

B. p. Gustaw Lewi po ukończeniu gimnazyum w Piotrkowie wstąpił na wydział prawny b. Szkoły Głównej, z której po jej zamknięciu przeszedł do uniwersytetu warszawskiego, poczem jako patron trybunału osiadł najpierw w Kaliszu. Następnie przeniósł się do Piotrkowa, gdzie zajął w palestrze miejscowej wybitne stanowisko nietylko jako prawnik i doświadczony cywilista, lecz także jako działacz społeczny.

Prócz tego b. p. Gustaw Lewi był od dłuższego czasu prezesem gminy żydowskiej, współdziałał też w innych instytucyach miejscowych, jak P. T. D. i był jednym z głównych założycieli warsztatów rzemieślniczych w Piotrkowie.

W życiu politycznem brał Gustaw Lewi czynny udział i stojąc na stanowisku bezpartyjnem, był przedstawicielem i delegatem kolegów piotrkowskich w Związku adwokatów polskich. Był też jednym z poważnych kandydatów na posła do Dumy przy wyborach obecnych ze swego okręgu.

W chwilach wolnych od zajęć zawodowych zasilał artykułami swymi „Gazetę sądową“ i „Tygodnik“ piotrkowski. W ostatnich czasach napisał wyczerpującą monografię Piotrkowa.

B. p. Gustaw Lewi, którego fotografię zamieszczamy, osierocił staruszkę matkę, jedyne go syna, adwokata przysięgłego, Marcelego, oraz siostrę, wdowę po świeżo zmarłym profesorze Stanisławie Kramsztyku.

Zwłoki przewieziono do Piotrkowa i tam je pochowano.

## Senzacyjne fałszerstwo.

Bank berliński „S. Bleichröder“ padł ofiarą sprytnego oszustwa, gdyż za sfałszowanym przekazem Banku Handlowego w Warszawie wypłacił niejakiemu Feliksowi Jeziorowskiemu 50.000 marek. Szczegóły tej sprawy są następujące:

W ubiegłą sobotę otrzymał bank „S Bleichröder“ od Banku Handlowego w Warszawie polecenie wypłacenia obywatelowi ziemskiemu, mieszkającemu w hotelu berlińskim „Savoy“ 50 000 mk. Na mocy powyższego polecenia bank wysłał płatnika z pieniądzmi do hotelu. Jeziorowski wylegitymował się swoim paszportem, oraz przedstawił list warszawskiego banku, wobec czego pieniądze bez trudności otrzymał. Pisma niemieckie donoszą, że tegoż dnia J. kupił za 700 mk. automobil w jednym z zakładów „Pod Lipami“ i o g. 7 wieczór opuścił hotel, pozostawiając swój kufer. Od tej



Sensacyjne fałszerstwo: Widok Banku Handlowego w Warszawie.

chwili wszelki ślad po rzekomym Jeziorowskim zaginął. Zawiadomiony o dokonanej wypłacie Bank Handlowy w Warszawie odpowiedział bankowi berlińskiemu, że żadnego polecenia na Berlin nie dawał i że przekaz musi być sfałszowany. Bank Handlowy nigdy przekazów listowych nie wydaje a co ważniejsza, nigdy nie był w stosunku przekazowym z bankiem „S. Bleichröder“.

Pisma niemieckie podają rysopis fałszerza następujący: Wzrost mały, dobrej tuszy, lat około 30 — 35, blondyn, mówi biegle po niemiecku, wyraźnym akcentem wschodnim. Kufer pozostawiony przez J. w hotelu, nosi inicyały „F. J.“ Wewnątrz znaleziono tylko brudną bieliznę nie znaczoną.

Jeziorowski przybył do Berlina we czwartek. Część pieniędzy otrzymanych za sfałszowanym przekazem wymienił w kantorze wymiany na pieniądze rosyjskie. Poszkodowany bank „S. Bleichrö-



Wybitny adwokat: Zmarły nagle adwokat przys. Gustaw Lewi.

dera“ wyznaczył 2.000 marek nagrody za ujęcie oszusta.

Ponieważ w sprawie tej, obchodzącej co do straty owej sumy wyłącznie Dom handlowy berliński, policya tamtejsza zarządziła energiczne poszukiwania, dom bankowy S. Bleichrödera delegował do Warszawy dwóch urzędników swoich: pp. M Schielleégo i F. Tschoepego, bezpośrednio z wypłatą tą w Berlinie związek mających, mianowicie prokurenta i inkasenta, który pieniądze odnosił do hotelu „Savoy“ w Berlinie i wypłacał je oszustowi. Panowie ci przybyli do Warszawy w celu dokonania osobistej konfrontacyi i porozumienia się z Bankiem Handlowym.

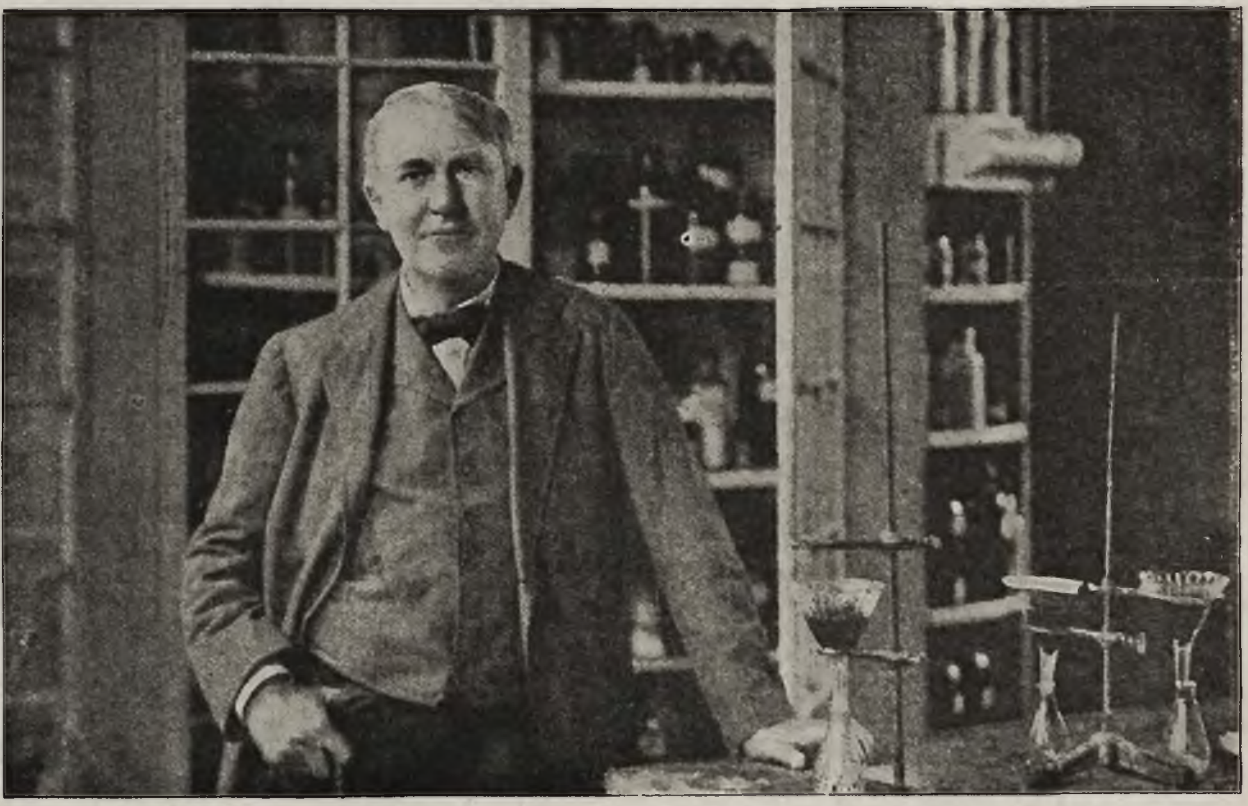


**Sensacyjne fałszerstwo:** Będący w pewnej łączności ze sprawą fałszerstwa, urzędnik Banku handlowego, K. Broszkiewicz.

Dodać należy, że dom bankowy S. Bleichrödera nadesłał zaraz ów list sfałszowany Bankowi Handlowemu w Warszawie z nadmienieniem, że ponieważ fałszerstwo tego listu potwierdza pomiędzy innemi niedokładne wymienienie firmy „S. Bleichröder Comp.“ zamiast tylko „S. Bleichröder“, do Banku Handlowego w Warszawie żadnej pretensyi nie rości. Charakterystyczne jest, że pewne cechy w tekście owego sfałszowanego listu mają niejakie wspólne podobieństwo z niektóremi cechami sfałszowanych dawniej czeków.

Dochodzenia tych dwóch panów ustaliły, że w tej sprawie działa wspólnie grupa osób. Są jeszcze dane do przypuszczeń, iż coś wspólnego ze sprawą owego fałszerstwa ma jeden z urzędników warszawskiego Banku Handlowego p. Karol Broszkiewicz którego ślub miał się odbyć w sobotę, a w ostatniej chwili odwołano ceremonię.

Tegoż wieczora — jak krążą pogłoski — zniknął on z horyzontu. Wogóle cała sprawa wygląda bardzo niejasno, a interesuje się nią w tej chwili cały świat finansowy i handlowy w Warszawie.



**Wielki wynalazca:** Słynny Edison, obchodzący 60-letnią rocznicę urodzin.

## Wielki wynalazca.

Dziś, gdy przyzwyczailiśmy się do użytku telefonu, który stał się naszym koniecznym sprzętem domowym, powinniśmy pamiętać także i o tym człowieku, co ten tak pożyteczny przyrząd dał do użytku całego świata. Jest nim Thomas Alva Edison, który w tym roku obchodzi sześćdziesięcioletnią rocznicę swoich urodzin, a który na ten wiek wygląda bardzo młodo, jak o tem można się przekonać z ostatniej jego fotografii, umieszczonej w dzisiejszym numerze „Nowości Illustrowanych“.

Koleje życia tego nadzwyczajnego człowieka, który dokonał tylu wielkich wynalazków z zakresu elektryczności są ciekawe i charakterystyczne co do stosunków amerykańskich. Mając lat dwanaście, był dopiero roznosicielem dzienników i jako taki jeździł pociągami kolejowymi, gdzie ciężko na chleb zarabiał. Uciuławszy trochę grosza, wpadł na pomysł założenia własnej drukarni podręcznej, za pomocą której w pociągach drukował pisemko pod tytułem: „Grand Trunk Herald“. Później został telegrafistą kolejowym, a mocą ciągłych doświadczeń, doszedł do swego pierwszego wynalazku, „Automatic repeater“, przyrządu, który automatycznie przenosi telegramy z jednej linii na drugą. W dalszym ciągu swych prac poczynił coraz więcej wynalazków w dziedzinie ulepszeń telegraficznych tak, że w roku 1875 został pierwszym dyrektorem towarzystwa „Gold-indicator-Company“, które wszystkim wybitnym osobistościom z amerykańskiego świata handlowego dostarczało co kwadrans wiadomości giełdowych.

W miarę zwiększania się powodzenia, mógł Edison poświęcać się więcej teoretycznym pracom, których praktycznym wynikiem są: ulepszenie telefonu, wynalezionego przez Bella, tak, że zeń korzystamy obecnie w całej pełni, pomysł i wykonanie światła żarowego elektrycznego i wprost genialny pomysł fonografu, utrwalającego dźwięki czy to muzyki, czy ludzkiego głosu.

O pomysłowości Edisona daje wyobrażenie fakt, że otrzymał już dotąd przeszło 900 patentów na swe wynalazki.

# ZŁAMANA SPINKA.

Powieść na tle aktów sądowych

przełożył z włoskiego W. Ż. K.

8.

Elena spuściła oczy, oparła głowę na dłoni i nic nie odpowiedziała. Conte Alfonso uśmiechnął się ironicznie i mówił dalej z większym jeszcze patosem:

— Ofiarą stałaś się jego oburzających podejrzeń. Oszalały ze zazdrości, udał raz, że wyjeżdża na cały tydzień w sprawach bardzo ważnych, tymczasem wrócił trzeciego dnia w nocy, potajemnie, najętymi końmi. Zostawił je przed bramą parku, a sam, jak złodziej ukradkiem przesunął się przez park pod pałac i tu zobaczył swego sekretarza, z pałacu wychodzącego. Wściekły gniewem pędzi do twego pokoju. Nie spałaś, nie byłaś nawet rozebrana. Na widok tyrana wzdrygnęłaś się i zmieszałaś. To było dlań dowodem, żeś miała schadzkę z sekretarzem. Ha! ha! niegodziwy zazdrośnik. Taki dowód! Wszakże sekretarz odniósł ci tylko jakieś korespondencye, z poczty nadesłane! Co? wszakże tak mówiłaś. No, a wzdrygnęłaś się i zmieszałaś, bo widok niegodziwego tyrana to sprawił. Widzisz więc jaki to zazdrośnik zawzięty, zaciekły, szaleniec.

— Daj spokój! Nie mów, nie mów...

— Nie mogę milczeć, nie mogę, bo krew ścina mi się w żyłach — wołał conte Alfonso. — Ten niegodziwiec, zobaczywszy twoje zmięszanie, zaczął cię łajać obelżywemi słowy, potem uderzył cię laską, rzucił cię na posadzkę, pomiął na tobie suknię, wrzeszczał, jak opętany, wreszcie związał ci ręce i ponownie cię uderzył. Zemdlałaś. Skrwawiona od uderzeń leżałaś bezprzytomnie; on myślał, że cię zabił, wtedy wypadł z pokoju jak szalony i popędził szukać sekretarza. Szczęściem, że pokojowa była w korytarzu i słyszała wszystko. Gdy szaleniec zostawił cię omdlałą, pokojowa zaczęła cię cucić i posłała natychmiast po lekarza. Nazajutrz powiłaś córkę Wilhelminę. Wściekłość twego tyrana jeszcze się wzmogła i nie wierzył, że to jego dziecko. Odgrażał się strasznie! Lekarz zagroził mu wniesieniem skargi do sądu karnego, i wtedy dopiero zgodził się na to, abyś wyjechała z dzieckiem, skoro tylko odzyskasz do tego siły. Twój mąż nie chciał się nawet pożegnać z tobą, nie chciał widzieć ani ciebie, ani dziecka. Przyjechałaś w kilka tygodni do Paryża, i odzyskałaś wolność. No i powiedzże sama, czy ten zbrodniarz nie zasłużył na tę karę, którą wymierzyliśmy tak sprawiedliwie?

— Straszne! straszne!

— Straszniejsze były twoje krzywdy, twoje cierpienia. Zbrodnia ukaraną została, krzywda twoja pomszczoną.

— Teraz już tylko tego pragnę, abyśmy czemprędzej opuścili to miasto, gdzie tyle wspomnień, tyle wspomnień a wszystkie tak przykre!

— A więc pospieszmy się z wyjazdem, jeżeli ci już tak bardzo na tem zależy.

— Ależ bardzo, bardzo Kiedy wyjedziemy?

— Może pojutrze wieczornym pospiesznym pociągiem.

— I owszem; proszę cię, czyń co możesz, aby wszystko do wyjazdu przygotować.

— Spieszę. Do widzenia aniele.

Pożegnali się miłosnym uściskiem.

IX.

**Na głównym dworcu.**

Ruch, zamęt, biegania, nawoływania, ścisk, wrzask, potrącanie się przechodniów i zdawkowe przepraszania. Wieczorem odchodzą pociągi na obydwie Riviery: pociąg błyskawiczny z Neapolu, przez Medyolan do Niemiec, zatrzymał się, dyszy parą swej olbrzymiej lokomotywy i rwie się w szalony pochód przez Alpy. Szum, łoskot, świst lokomotywy na innym torze: to pociąg pospieszny do Wenecyi. Posługacze tłoczą się z pakunkami za podróżnymi; chłopcy, co dzienniki roznoszą, wrzeszczą, aby przekrzyczeć służbę restauracyjną, anonsującą roznoszone przekąski i napoje.

Wśród wrzawy i tłoku ludzkiego przechadzał się po peronie Aleksandrowicz w towarzystwie urzędnika kolejowego. Pełnił dziś służbę na dworcu. Zabójstwo na Salita Santa Nicola, zajmowało jeszcze wszystkich, jeszcze nie przebrzmiało, więc mówiono o niem wszędzie, mówił też i urzędnik kolejowy, rad ze sposobności, że się zetknął z Aleksandrowiczem.

— Jakże pan sądzi, czy morderca uciekł, czy też jeszcze ukrywa się w Genui?

— Morderca tak zręcznie zacierał za sobą wszelkie ślady, że nie możemy do tej chwili niczego dociec. Był w pewnym hotelu po spełnieniu zbrodni, co nie ulega wątpliwości, ale z rana wydalił się, a dokąd? to jest zagadka. Może do pierwszego pociągu, a może gdzieś w mieście poszukał ukrycia.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Zdjęcie amatorskie.
**Echa głośnej sprawy:** Grupa śmiałych uczestników wtargnięcia do Pawiaku, którym udało się wykraść 10 więźniów politycznych (odznaczony X odegrał rolę rotmistrza von Budberg).

# Z lwowskiego bruku.

(Bal prasy i desperacya odważnego reportera. — Bal u hr. Badeniego a Podolacy. — Prezydenci i ich potrzeby. — Sejm i przygotowania do wyborów. — Spis grzechów. — O czem można się dowiedzieć? — Potrzeba błota).

Oficyalnie zakończył się karnawał we Lwowie balem prasy, który w ubiegłą sobotę zgromadził w sali Filharmonii cały Lwów tańczący, podziwiający, pijący, piszący, czytający, prenumerujący i karnawałujący. Jeden z reporterów, który usiłował spisać nazwiska tylko najpiękniejszych kobiet na balu prasy, stanął w połowie roboty wyczerpany tak kompletnie, że musiano go wozem stacyi ratunkowej zawieść do najbliższej restauracyi na piwo, bo w bufecie p. Podhalicza nie było już ani kropli wzmocnienia. Pewną niespodzianką balu było, że nie wniesiono ani jednej trumny na salę, jak to miało miejsce przed dwoma laty. Bal udał się znakomicie.

Nie tak już udał się bal u hr. Badeniego, na którym ostentacyjnie nie zjawili się t. zw. Podolacy, skupiający się około „Gazety Narodowej“, a nie zjawili się, aby w ten sposób wyrazić niechęć hr. Badeniemu za to, że w Izbie Panów agitował za reformą wyborczą. Hr. Badeni ze zmartwienia przez cały wieczór nie tańczył, nie jadł, nie pił, nie kłócił się i tylko robił sobie wyrzuty, że wtrącał się niepotrzebnie w sprawy, które irytują eksnamiestnika hr. Leona Pinińskiego. Ten ostatni bowiem posądza hr. Badeniego nadto, że jest cichym współpracownikiem socyalistycznego „Głosu“, a udając się na spoczynek nuci pod nosem „Czerwony Sztandar“. Oczywiście, że do tak bardzo czerwonego hrabiego nie mogli Podolacy pójść na bal. Za to poszli na bal do namiestnika, gdzie jedli jak najwięcej, ażeby mu w ten prosty a przekonywujący sposób dać dowód swojej niezachwianej sympatyi.

Na tych wielkich balach skończył się wielki karnawał tegoroczny, a we środę posypaliśmy łysiny popiołem i weszliśmy w siebie.

* * *

Najgłębiej weszli w siebie prezydenci Lwowa, pp. Michalski, Rutowski i Ciuchciński i przyszli do przekonania, że troski ich są zbyt wielkie, a pobory zbyt małe, wobec czego postanowili zawczasu zaradzić złemu i żądać podwyższenia swoich pensyj. Powiadam „zaradzić złemu“, bo — jak wiadomo — głód jest złym doradcą i pan prezydent gotów z desperacyi chwycić się ostatecznego środka, nie bardzo licującego z godnością prezydencką. Nie jest jednak prawdą, jakoby prezydenci nosili się z zamiarem urządzenia strejku na wypadek nieuwzględnienia ich życzeń, podobnie, jak nieprawdą jest, jakoby prezydent Michalski, celem powiększenia swych dochodów odnajął komuś ze swego mieszkania w ratuszu jeden pokój z osobnym wchodem lub otworzył jatki z końskiem mięsem.

* * "

O wiele więcej zajmujemy się Sejmem, który 14 bm. zaczyna nową sesyę, a jeszcze więcej robimy hałasu gębą i piórem z powodu przyszłych wyborów na podstawie nowej reformy wyborczej. Mówią wiele, wymieniają kandydatów, ale żaden z kandydatów nie miał dotąd odwagi wysunąć się ze swoją kandydaturą, ażeby się nie dowiedzieć, co o nim myślą. Bo trzeba pamiętać, że my tylko czekamy na wymienienie kandydata z przeciwnej partyi. Zaledwie go wymienią już zaczynamy grzebać w jego papierach i nuże wyjeżdżać ze wszystkiem. Kto przed spowiedzią chce mieć dokładny spis grzechów swoich, niech tylko stawia swoją kandydaturę do parlamentu, a znajdą się ludzie, którzy mu przypomną wszystko a nawet więcej, niż wszystko.

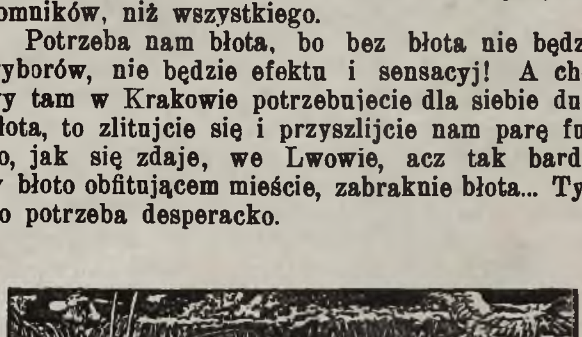
Przypomną mu z całą pewnością, ile miał kochanek, gdzie kiedy wziął u kogo łapówkę, kiedy co od kogo pożyczył i nie oddał, na jaką słabość tajną chorował, ile razy siedział w kryminale, ile razy z kryminału się wymigał, a ile razy powinien był siedzieć, ile razy opił się za swoje pieniądze, a ile razy za cudze, ile kobiet uwiódł, z kim romansowała jego matka, a co na to mówił jego ojciec, kto w rodzinie kandydata popełnił samobójstwo, zdefraudował jakąś sumę, zbankrutował lub popełnił inne świństwo, co mówiono o żonie kandydata, kiedy jeszcze była panną i chodziła na pensyę, jak się zachowują jego dzieci, co o nim mówią jego kucharki, pokojówki i stróż, słowem wszystko mu przypomnimy, bo o wszystkiem muszą wiedzieć wyborcy, zanim komu oddadzą swój głos. Wynikiem tego będzie, że wszyscy bez wyjątku kandydaci są łajdakami, złodziejami, oszustami, defraudantami, słowem ostatnimi wyrzutkami społeczeństwa są ci, którzy będą naszymi — wybrańcami.

To też nic dziwnego, że kandydaci na kandydatów siedzą jeszcze cicho i nie są ciekawi dowiedzieć się o swoich przymiotach i cnotach. Zostawiają to na później. A my tymczasem już teraz pracujemy nad informacyami. Zaledwie gruchnie jakaś wieść, że ten lub ów zamierza kandydować, a my już szukamy w jego papierach i zbieramy daty, aby potem informować wyborców. Niech wiedzą, kogo wybierają i niech się cieszą.

* * *

Przygotowuje się więc błoto, kupa błota, morze błota i tego błota potrzeba nam teraz do wyborów jak najwięcej, więcej niż zdrowia, niż taniego opału, niż dodatku drożyźnianego, niż dalszych sztuk teatralnych i oper narodowych, niż pomników, niż wszystkiego.

Potrzeba nam błota, bo bez błota nie będzie wyborów, nie będzie efektu i sensacyj! A choć wy tam w Krakowie potrzebujecie dla siebie dużo błota, to zlitujcie się i przyszlijcie nam parę fur, bo, jak się zdaje, we Lwowie, acz tak bardzo w błoto obfitującem mieście, zabraknie błota... Tyle go potrzeba desperacko.



W. WŁADIMIROW.

# Wykradzenie więźniów z Pawiaka.

(1. Przygotowania. 2. Wydanie rozkazów. 3. Przed Pawiakiem 4. Na Pawiaku. 5. W kancelaryi więzienia, 6. Nieszczęśliwy skazaniec. 7. Piekło niepewności. 8. Porwanie więźniów. 9. Ucieczka. 10. W karetce więziennej. 11. Ocalenie. 12. Zakończenie).

## I. Przewstępne przygotowania.

W roku 1906 z więzienia śledczego na Pawiaku w Warszawie wykradziono 10 więźniów.

Zrobione to było w tak wyjątkowych i szczególnych warunkach, bez naruszenia zamków, łamania drzwi, bez jakiejkolwiek przemocy nad administracyą więzienną, że trudno nie podziwiać śmiałości, pomysłowości i precyzyi w wykonaniu zamierzonego planu. Ze względu na szczegóły, ucieczka ta wydaje się podobną do jakiejś bajecznej epopei, której bohaterowie zwalczają wszelkie przeszkody, przenikają grube mury więzienne, przerywają zaczarowane kręgi i ratują umęczonych ludzi. Wszystko uchodzi im bezkarnie, jakby posiadali w ręku tajemniczy talizman. Tak i w tej „bajce rzeczywistości!..“ Dziesięciu uwięzionym wręczono akt oskarżenia, według artykułu 279, grożącego karą śmierci. I oto zjawia się garstka ludzi, obdarzonych talizmanem męstwa i niewzruszoną stanowczością „zwyciężyć lub umrzeć“. Widziałem się z tym rzekomym rotmistrzem żandarmskim Budbergiem, który wyprowadził z więzienia skazańców. Przyszedł on z zupełną swobodą do mego hotelowego numeru i długo ze mną rozmawiał, obszernie opowiadając o najdrobniejszych szczegółach ucieczki. Jest to młody jeszcze mężczyzna, nie liczący więcej nad 32—34 lat, wysoki, pięknie zbudowany. Jego otwarta, wytworna fizyognomia, łagodne, dobre oczy, odrazu dobrze do niego usposobiają. Cała figura nie zdradza wielkiej siły fizycznej. Jest smukły, giętki i zapewne zręczny, lecz nie silny. Bardzo inteligentny i rozwinięty umysłowo. Mowa jego sprawia równie dodatnie wrażenie, jak i on sam. Mówił łagodnym, serdecznie brzmiącym głosem, bez cienia jakiejkolwiek pozy, ze zbytnią nawet skromnością, gdy mówił o sobie. Tak naturalnie przedstawił on obraz ucieczki, z rozwagą zatrzymując się na niektórych okolicznościach, zmuszających do ostrożności, lub budzących niebezpieczeństwo, składając tem dowody wielkiej spostrzegawczości i baczności na wszelkie drobiazgi, z któremi trzeba było się liczyć, przy współrzędnem zachowaniu zupełnego spokoju i obojętności na niebezpieczeństwo.

Widząc go tak spokojnie siedzącego w moim numerze i opowiadającego z prostotą epicką o tem, co było — mimowoli pomyślałem: czyżby istotnie po wykonaniu swego planu — mógł on również spokojnie mieszkać w dalszym ciągu w mieście, jak teraz — z zupełną abnegacyą niebezpieczeństwa, gdy siedział naprzeciw mnie przy stole? A może też znikł on na czas pewien gdzieś zagranicą, żeby go na razie nie poznano, chociażby przy wypadkowem spotkaniu któregokolwiek z oficyalistów więziennych, którzy widzieli go, gdy spełniał „na Pawiaku“ swoją „czynność żandarmską“. Zapytałem go o to i otrzymałem następującą odpowiedź:

— Nie, nie wyjeżdżałem z miasta i nie zmieniając trybu życia, wychodziłem, jak dawniej, na ulicę, spacerowałem, spotykałem się ze swymi znajomymi, przyjaciółmi... Pewnego razu, niedługo nawet po dokonanym fakcie, spotkałem się wypadkowo z nadzorcą więzienia, który wydał owych więźniów politycznych. Jechałem tramwajem... nagle tuż obok mnie usiadł nadzorca. Spojrzałem na niego, on również mnie obejrzał. W pierwszej chwili wydało mi się, że poznał mnie; sytuacya stała się drażliwą: lada chwila mógł zrobić alarm, krzyknąć na patrol i oddać mnie w ręce administracyi; lecz widocznie, nie starczyło mu determinacyi. W spojrzeniu jego zdołałem pochwycić jakieś pomieszanie, obawę i pewne wahanie, a następnie, prawie nagle i demonstracyjnie wyskoczył on z tramwaju, ja zaś pojechałem dalej.

Rzekomy baron Budberg — tem nazwiskiem będę go nazywał — był członkiem Polskiej Partyi Socyalistycznej, tak zwanej P. P. S.

Ucieczka, którą opisuję, była przygotowana przez tę właśnie partyę i prócz „barona“, brało w niej udział jeszcze sześciu „policyantów“, z których jeden był „starszym“. Prócz tego zorganizowana jeszcze była rezerwa z kilku ludzi. Obowiązkiem jej było zabrać 17 rewolwerów, pozostawionych w karecie więziennej, a których partya nie chciała zostawić w rękach policyi. Przy wyborze osób, którym zamierzano dać wolność, partya kierowała się jedynie wysokością kary, grożącej uwięzionym: pozostawiała ona zupełnie na stronie względy partyjne i nie zwracała uwagi, czy więzień należał do ich partyi, czy też do jakiej innej. Mając to na względzie, Polska partya socyalistyczna zebrała uprzednio dokładne wiadomości, komu ze znajdujących się w więzieniu śledczem grozi kara śmierci; następnie postarano się wyjaśnić, kto z tej kategoryi uwięzionych najbardziej jest beznadziejnym, z mocy jawnych przeciwko niemu poszlak, oraz kto najbardziej jest nienawistny dla administracyi.

Otrzymawszy w ten sposób ostateczną listę podsądnych, którzy nie mogli uniknąć śmierci — partya postanowiła ich ocalić. Odnośnie do jednego z tych dziesięciu decyzja zapadła w ostatniej chwili.

Przed ułożeniem odezwy urzędowej od warszawskiego oberpolicmajstra do naczelnika więzienia śledczego, niespodzianie otrzymano wiadomość, że według aktu oskarżenia, wręczonego jednemu z dziesięciu, zamiast kary śmierci projektuje się inna kara, wtedy gdy drugiemu więźniowi p. M. zupełnie nieoczekiwanie wręczono akt oskarżenia tego samego dnia, grożący śmiercią — oskarżenia zupełnie nieuzasadnionego.

Nikt z adwokatów, ani też sam M., nieoczekiwał tego.

Z tem wszystkiem, polska partya socyalistyczna postanowiła i jego ocalić i włączyła do listy osób, które miano uwolnić.

Trzeba zauważyć, że partya uznała za lepsze nie uprzedzać o tem więźniów, iż w czasie oznaczonym zjawią się w więzieniu ich zbawcy: bała się ona że ktokolwiek z nich może ujawnić zbytnie wzruszenie, nie potrafiąc zapanować nad radością i popełni jakąś nieostrożność.

Niewłaściwe spojrzenie, uśmiech, ożywiony wyraz twarzy, szybkość ruchów — wszystko to mogło zdradzić, zniweczyć całe to ryzykowne przedsiębiorstwo i dlatego postanowiono utrzymać wszystko w tajemnicy i nie uświadamiać uwięzionych towarzyszy.

Oprócz rzekomego żandarma Budberga, udało mi się zobaczyć i poznać się z jednym z pseudopolicyantów, który miał wyznaczoną bardzo ważną rolę.

Z jego opowiadania wyniosłem przeświadczenie, że musieli się oni porządnie napracować, zanim mogli przystąpić do akcyi.

Przedtem odbyli oni liczne próby, różne repertycye i dzięki temu osiągnęli zdumiewającę karność. Role każdej osoby były ściśle określone, i każdemu wskazane, i każdy mógł je wybornie odegrać.

## II. Wydanie rozkazów.

O godzinie 1 ej po północy zatelefonował do więzienia śledczego niby to oberpolicmajster m. Warszawy — Meyer i wezwał dyżurnego urzędnika. Do telefonu podszedł pomocnik naczelnika więzienia, znajdujący się w owym czasie na dyżurze.

Przyłożywszy trąbkę do ucha, poznał on odrazu głos oberpolicmajstra; Mejer mówił jakoś nadzwyczaj wolno, metodycznie, równym, przyciszonym głosem z nieznacznym akcentem.

Pomocnik naczelnika więzienia znał dobrze manierę oberpolicmajstra, i dlatego zapewne zawsze mógł głos jego odróżnić od setki innych.

Gdy ten głos wyższego zwierzchnika ozwał się w trąbce telefonu — „dyżurny“ w więzieniu zamienił się cały w słuch, notując w pamięci każde słowo z tego, co było mówione. Pseudo-policmajster polecił mu wziąć fonogram i zapisać jego rozporządzenie, żeby nie było jakiegokolwiek nieporozumienia. Dyżurny spełnił to polecenie.

Mniemany naczelnik policyi rozkazał mu natychmiast przygotować wszystko, co było koniecznem dla wyprawienia dziesięciu więźniów z więzienia śledczego „na Pawiaku“ do 10 pawilonu cytadeli warszawskiej ze szczegółowem wymienieniem ich imion i nazwisk. Zarazem żądał, żeby wyprawiono ich w karecie więziennej, ponieważ karety policyjne wszystkie były zajęte i prosił przyspieszyć niezbędne przygotowania, gdyż za kwadrans przyjedzie do więzienia oficer żandarmski z konwojem, którego zatrzymywać w żadnym razie nie można.

Wydawszy to rozporządzenie, rzekomy oberpolicmajster zażądał, żeby „dyżurny“ odczytał to, co było przez niego zapisane, dla sprawdzenia, czy nie zaszła jaka omyłka co do nazwisk, poczem, gdy się przekonał, że wszystko w porządku, telefon zamknął.

Dyżurny w więzieniu wydał natychmiast niezbędne rozporządzenia. Osobista prośba policmajstra: „działać spiesznie“, sprawiła swój skutek, zaczął też gorączkowo wydawać rozkazy dozorcom, żeby obudzili więźniów i przygotowali ich do natychmiastowego wyjazdu, sam zaś usiadł przy biurku, celem przygotowania osobistych dokumentów więźniów dla wręczenia oczekiwanemu rotmistrzowi żandarmów.

W tej chwili przypomniał sobie, że nie dał jeszcze rozporządzenia woźnicy, żeby ten zaprzęgał konie i prędzej zajechał z karetą więzienną.

Wiele trudu kosztowało rozbudzenie wśród głuchej nocy dozorców i woźnicy. Po chwilowem zamięszaniu i bieganinie wszystko niebawem się uspokoiło...

Każdy spieszył wykonać otrzymane rozkazy i po upływie pewnego czasu w więzieniu zapanowała cisza.

## III. Przed Pawiakiem.

Więzienie pogrążone było we śnie głębokim. Z pośród nocnej mgły ponuro występowały ogromne mury więzienne, podobne do olbrzymich głazów kamiennych. Ciszy martwej i spokoju nic nie przerywało, niekiedy tylko dolatywały echa miarowych kroków szyldwacha, chodzącego koło murów więziennych, a nadto połyskujące w szybach nikłe światełka mówiły wypadkowym przechodniom, że tai się tam życie, okropne życie ciągłego oczekiwania kaźni...

Martwy spokój szedł do samych gmachów więziennych w tę noc ciemną.

Spał mocno i odźwierny przy bramie i nie słyszał, gdy o drugiej godzinie w nocy zajechały przed więzienie dwa powozy, z których wyszli rotmistrz żandarmeryi i sześciu policyantów.

Oficer i starszy policyant, podszedłszy do furtki, zapukali do małego okienka.

Długo nie było żadnej odpowiedzi: w końcu, po silniejszych uderzeniach, otwarło się okienko, w którem ukazała się głowa rozespanego odźwiernego.

Starszy policyant krzyknął opryskliwie na niego:

— Cóż to, nie widzisz? Przyjechał pan rotmistrz żandarmeryi!...

Rozpoznawszy uniform oficerski i kilku policyantów, odźwierny pospiesznie otworzył bramę, przepuszczając wszystkich do wnętrza i przepraszając za chwilowe opóźnienie.

Oficer zrobił mu surową uwagę, że nie wolno spać przy bramie i że źle spełnia swe obowiązki, poczem rozkazał zameldować o swojem przybyciu naczelnikowi więzienia i przeprowadzić się do kancelaryi.

Wrota więzienia zapadły się z trzaskiem.

## IV. Na Pawiaku.

W głębi więzienia policyanci znaleźli się na niewielkiem podwórzu wewnętrznem, otoczonem ze wszystkich stron gmachami więziennemi i murami. Rozsiedli się swobodnie na ganku, w oczekiwaniu na karetę więzienną; rotmistrz udał się do kancelaryi.

Policyanci zachowywali się tak naturalnie z taką nieprzymuszoną prostotą, że nie mogli wzbudzić jakiegokolwiek podejrzenia.

Jedni z nich drzemali, drudzy mieli tak obojętne fizyonomie, że nie zachęcali do rozpoczęcia z nimi rozmowy dozorców więziennych, którzy przez ciekawość wyszli na ganek.

Gdy jeden z dozorców zaczął coś mówić, starszy policyant zrobił wyglądną minę i uchylił się od rozmowy pod pretekstem, że naczelnik ich, rotmistrz, jest człowiekiem bardzo surowym i srogim.

Następnie starszy policyant przeszedł się kilka razy po podwórku, zajrzał do okien kordegardy i przekonał się, że żandarmerya i konwój pogrążeni są w śnie mocnym.

W milczeniu, usiadłszy na stopniu ganku, zewnął słodko i, zwiesiwszy głowę na kolana, zaczął drzemać...

Ciemna bezksiężycowa noc sprzyjała planom, Całe niebo pokrywały chmury ołowiane.

Wszystko zależało teraz od barona Budberga. Czy zdoła on otrzymać prędko uwięzionych towarzyszy? Czy nie wzbudzi w czemkolwiek podejrzenia?

Pod maską spokoju i zupełnej obojętności względem tego, co ich otaczało, sześciu policyantów wsłuchiwało się pilnie, co się dzieje wewnątrz więzienia tam, za gankiem w kancelaryi.

Chwytali najmniejszy szmer, poruszenie, oczekując z bijącem sercem, czy nie ozwie się sygnał rotmistrza żandarmów, żeby natychmiast rzucić się mu na pomoc z rewolwerami w rękach i ogniem torować drogę sobie i swym uwięzionym towarzyszom.

Ciąg dalszy nastąpi.

# NASZYJNIK MISS ADY

5. NOWELKA.

— Okazałeś się nader zręcznym — przyznał towarzysz.

— Pochlebiam sobie. I co najparadniejsze, to fakt, że zdobyłem serce zimnej piękności z New-Yorku. Przysięgam ci! Co za fatalność nie módz zabrać miliardów, zamiast tego naszyjnika. Pochodzi to stąd, gdy się z urodzenia nie jest baronem. Gdybym był nim — narzeczona z marmurową postacią a na złotym postumencie należałaby do mnie! Wielka gra! Powiadam ci!...

Dalsze słowa zcichły w przestrzeni, podobnie jak ich ślad znikł w lesie.

* * *

Tymczasem podniecony gorączkowo tłum szukał dalej naszyjnika w sali balowej hotelu. Nawet burbońskiemu książęciu udzieliło się ogólne podniecenie i on także rozmawiał żywo ze starym miliarderem, który stał nieporuszenie z miną najobojętniejszą w świecie. Jego poorane zmarszczkami czoło, nie zdradzało kombinacyi jakie się pod niem snuły. Nad czemś zastanawiał się głęboko, a wzrokiem badał każdego z obecnych na sali. Za chwilę spytał szambelana:

— Nie mógłby pan powiedzieć mi, gdzie są jego znajomi?

— Hrabia i baron? — odparł Belgijczyk ze zdziwieniem.

I on także szukał wzrokiem obydwu. Również miss Ada upatrywała swego dansera — nie wracał...

W tej chwili, gdy znów stali się — ojciec i córka — przedmiotem powszechnej obserwacyi, miss Ada zamknęła się w sobie, przybierając tajemniczy i zimny wygląd. Nikt nie mógł odgadnąć co za myśli tworzyły się w tej dumnej głowie..... Miss Ada zrozumiała, co się stało.

— Proszę przywołać dyrektora hotelu! — ostro zawołał Screw.

Elegancki jegomość w czarnym tużurku zjawił się natychmiast i nisko się kłaniając, wyrażał swe najżywsze ubolewanie nad tem, co się stało.

— Gdzie są hrabia de la Tourelies i baron Hamard? — przerwał mu głosem imponującym miliarder — proszę zobaczyć czy są w mieszkaniu!

Szmer rozszedł się po sali. Zaczęto podejrzywać, zaczęto domyślać się, jak sprawa stoi.

— Ci panowie opuścili przed dziesięciu minutami hotel — meldował dyrektor, blady jak ściana, skoro tylko po chwili powrócił w towarzystwie groom'a hotelowego.... — przy takiej pogodzie....

Pioruny biły jeden za drugim, szyby dźwięczały złowieszczo....

— Tak — wtrącił groom — panom mieszkającym pod Nr. 3 im, otworzyłem drzwi, które prowadzą do parku. Obydwaj byli ubrani w płaszcze gumowe, podobnie jak kiedyś, gdy ich odrowadzałem z przyrządami do łowienia ryb morskich. Dziś wybiegli bardzo szybko z hotelu....

— To byli złodzieje! — z flegmą zauważył Rafael Screw.

Po tych słowach pan dyrektor hotelu przyszedł do siebie.

— Panie Screw — mówił ożywiony — przysięgam, że naszyjnik zdobędziemy napowrót! Daję za to moją głowę. Będę ścigał złodziei. Żandarmerya.....

— Głupstwo! — mruknął z energicznym gestem Screw. — Nie chcę! Zrozumiano?! Niechaj złodzieje uciekają!

Całe eleganckie towarzystwo skupiło się dokoła interesowanych. Patrzono na miliardera, jak na zagadkowego sfinksa. Być okradzionym na pięć milionów franków i nie kazać ścigać złoczyńców?! Nie do uwierzenia!

— Panie Screw — odezwał się cokolwiek zirytowany książę, w którego żyłach płynęła krew Burbonów — pan przyjmuje tak lekko stratę, nie starając się nawet poszukiwać złoczyńców?

— Już raz oświadczyłem, moje zdanie — odparł krótko Amerykanin.

Książę uczynił gest, wyrażający zdziwienie. Tego rodzaju zachowanie mógł sobie tłomaczyć tylko najwyższym wykwitem amerykańskiego „dorobkiewiczowstwa“. To zirytowało go mocno, mówił tedy cokolwiek przez nos, wyprostowawszy się, ile na to jego niezbyt zgrabna postać pozwalała:

— Nie rozumiem, że pan, panie Screw, nawet przy swoich miliardach, możesz z tak lekkiem sercem podobną stratę przyjmować. Przecież kilka milionów...

— A kto panu powiedział — nie dał mu dokończyć Screw — że zostałem na kilka milionów okradziony?

Książę zadziwił się, co na jego twarzy odbiło się, ale już mniej pewnym głosem pytał:

— Jakto? A więc ów sławny naszyjnik?...

Miliardera twarz rozjaśniła się niekłamanym uśmiechem.

— Tak jest! — mówił dobrodusznie — ów naszyjnik sławny kosztował mnie rzeczywiście milion dolarów. Tak, tak było w istocie.... i jest własnością mojej córki Ady. Czy sądzi pan jednak, abym był do tego stopnia naiwny i pozwolił jej nosić go podczas pobytu w Europie? O nie! Tak naiwny nie jestem, bo przecież mógłby wpaść w ręce pierwszego lepszego złodzieja. Mój jubiler w Nowym Jorku wykonał mi znakomitą imitacyę prawdziwego naszyjnika, a ta imitacya kosztowała mnie zaledwie tysiąc dolarów.... Z tą imitacyą uciekają teraz francuscy szlachcice podczas burzy. Niechaj uciekają! Oryginał naszyjnika spoczywa tymczasem spokojnie w jednej z kas ogniotrwałych firmy „Screw and Co“. w Nowym Jorku....

* * *

Na dworze szalała dalej burza, stary zaś książę co pewien czas rzucał z poza ciężkich, ciemnych chmur ironiczne spojrzenia na dolinę zamkniętą wysokiemi górami.....

KONIEC.

## Zagadki do nagrody

### Logogryf zgłoskowy.

(Ułożył T. Domain Kołomyja.)

Z następujących zgłosek: a, bu buz, ce, dl, dy, e, fi, gan, ja, jam, jazd, l-, lier, ot, pe, po, poi, ma, na, nał, ni, ni, no, ny, ra, ro, so, ty, try, u, wor, za, zy, żec, ułożyć 11 wyrazów których litery początkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko polskiego malarza, a końcowe z dołu do góry, imię i nazwisko poety polskiego.

*Znaczenie wyrazów* 1. Miasto na kresach. 2. Istoty mikroskopijne, z których kreda powstaje. 3 Inaczej hotel. 4. Oznaki oficerskie. 5. Inaczej strzelec. 6. Oznaka władzy w wojsku polskiem. 7. Starożytna opozycya. 8. Góry. 9. Zwierz południowy. 10. Przysłówek łaciński na oznaczenie czasu. 11. Wyższy sąd.

### Logogryf.

Ułożył Koliba.

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| X | O | O | O | O |
| O | X | O | O | O |
| O | O | X | O | O |
| O | O | O | X | O |
| O | O | O | O | X |
| O | O | O | X | O |
| O | O | X | O | O |
| O | X | O | O | O |
| X | O | O | O | O |
| O | X | O | O | O |
| O | O | X | O | O |
| O | O | O | X | O |
| O | O | O | O | X |
| O | O | O | X | O |
| O | O | X | O | O |
| O | X | O | O | O |
| X | O | O | O | O |
| O | X | O | O | O |
| O | O | X | O | O |
| O | O | O | X | O |
| O | O | O | O | X |
| O | O | O | X | O |
| O | O | X | O | O |
| O | X | O | O | O |
| X | O | O | O | O |
| O | X | O | O | O |
| O | O | X | O | O |
| O | O | O | X | O |
| O | O | O | O | X |
| O | O | O | X | O |
| O | O | X | O | O |
| O | X | O | O | O |
| X | O | O | O | O |

Kółka i gwiazdki zastąpić literemi w ten sposób, aby gwiazdki czytane z góry na dół, utworzyły okolicznościowe zdanie noworoczne?

*Znaczenie wyrazów*: 1. Mieszkaniec Afryki. 2. Miasteczko w Lubelskiem. 3. Część twarzy. 4. Zwierzę domowe. 5. Dzikie zwierzęta 6. Narzędzie rolnicze. 7. Dawny pisarz polski. 8. Inaczej dyabeł. 9. Miasto portowe w Japonii 10. Tytuł czasopisma polskiego. 11. Rzeka w Austryi. 12. Miasteczko na Wołyniu. 13. Zrąbane drzewo. 14. Inaczej człowiek. 15. Przyrząd do oświetlania. 16. Zabytek starożytny. 17. Imię męskie. 18. Lekki statek. 19. Mieszkańcy półwyspu Bałkańskiego. 20. Jezioro w Rosyi. 21. Miasto na Litwie. 22 Naczynie do picia 23. Ptak. 24. Zakątek. 25. Imię jednego z papierzy.

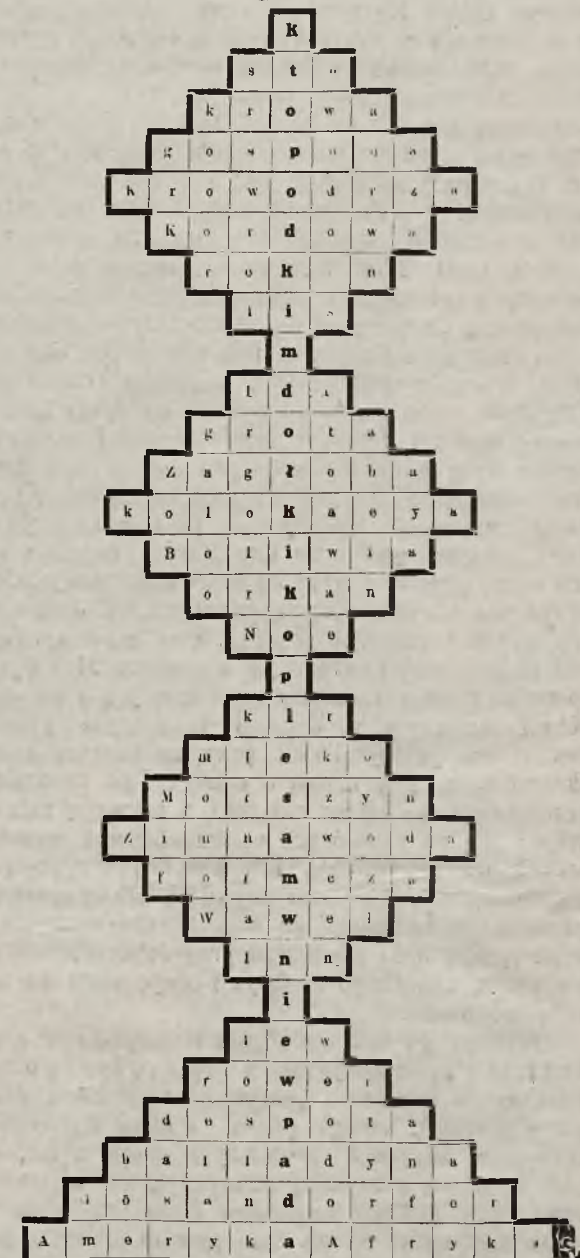
Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy jako nagrodę »Obrona Sztandaru« Ludwika Stasiaka.

## Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

### Logogryf zgłoskowy.

**W**aryan**T**, **Ł**opatk**a** **A**ndaluzy**t**, **D**emete**r**, **Y**psylon**y**, **S**era**J**, **Ł**ad**a**, **A**ntymo**n**, **W**aregowi**e**, **Ż**ołąde**k**, **E**pilo**G**, **L**epaut**o**, **E**zo**p**, **N**eapo**l**, **S**enegambi**a**, **K**leo**n**, **I**berya.

### Zagadka.



*Dobre rozwiązanie nadesłali Pp.* E. Byszewski Kraków, A. Mussil Lwów, Tow. »Zgoda« i J. Niepokój Krosno, St. Łaszkiewicz Dębica, B. Ramułtowa Jeżów, K. Pożakowski Szczakowa. W. Hildziński Lichwin, Henryka Zwilling Tarnów, A. Surowiecki Kraków, A Bocsoń Bóbrka, A Stadler Lwów, T. Domain Kołomyja, St. Gajdeczka Sieniawa, E. Kawiński Starosól, M. Pfeiffer Lwów, A. Trylowski Żabie, Helena Zielińska Manajów, Dr. Wa mski Turka, K. Fuchs Czeremchów, J. Haładej Górki, L. Runge Lwów, Marya Świtlikowa Rzeszów, M Karwacka Stanisławów, E. Bogdalska Koropuż, I. Bazylewicz Jaktorów, K. Sokołowski Stanisławów, Związek K. Krawców Kraków

Nagrodę przez losowanie otrzymała p Helena Zielińska w Manajowie. Prosimy o nadesłanie 35. hal. na koszta przesyłki poleconej.

## NADESŁANE.

(Za rubrykę niniejszą Redakcya nie przyjmuje odpowiedzialności).